

SZOTA RUSTAWELI

ეროვნული
ბიბლიოთეკა

WITEŻ
W
TYGRYSIEJ
SKÓRZE



NASZA KSIĘGARNIA







WITEŻ W TYGRYSIEJ SKÓRZE

Национальная
библиотека Республики Польша

Prosiemu Przejscielowi
 Simonowi Czikowam
 z poetycznym pozdrowieniem
 Siger Sibirycki
 Lódź. 10. IV. 67r

SZOTA RUSTAWELI



WITEŻ
W
TYGRYSIEJ
SKÓRZE



SPOLSZCZYŁ
IGOR SIKIRYCKI

NK

1960

1388



Podstawą adaptacji starogruzińskiego poematu
„Wepchis Tqaosani”
jest rosyjskie opracowanie dla młodzieży I. Zabołockiego
pt. „Witiaz' w tigrowej szkurie”
porównywane z tłumaczeniem rosyjskim Szalwa Nucubidze

Ilustrował Andrzej Heidrich

Na obwolucie i wkładkach reprodukcje starogruzińskich miniatur

ER4.155
409R

საქართველოს
ეროვნული
ბიბლიოთეკა

OPOWIEŚĆ PIERWSZA

O ROSTEWANIE, KRÓLU ARABSKIM



Zył w Arabii przed wiekami,
 Z łaski Boga, mąż szczęśliwy —
 Król Rostewan, dzielny wojak
 I monarcha sprawiedliwy.
 Wielce szczodry i łagodny,
 Sławy w świecie zdobył dość i
 Mądrze władał swoim państwem
 Od lat młodych do starości.

Słońcem króla Rostewana
 Była córka czarnobrewa —
 Tinatina taka piękna,
 Że ją w pieśniach lud opiewał.
 Niby z gwiazd na jasnym niebie
 Blask z jej cudnych oczu padał
 I niejeden dzielny młodzian
 Rozum przez ten blask postradał.

Oto wzywa król potężny
 Swych wezyrów do zamczyska
 I powiada: „Przyjaciele,
 Już rozstania chwila bliska!
 Nic trwałego nie ma w świecie,
 Tak już zawsze się układa.
 Siądźmy. Bardzo mi potrzebna
 Przyjacielska wasza rada.

Oto w pięknym mym ogrodzie
Przekwitając wędnie róża.
Ale spójrzcie, tuż koło niej
Nowa z pączka się wynurza.
Długo żyłem na tym świecie,
Wkrótce śmierć już ku mnie zbłądzi,
Niech więc córka ma od dzisiaj
Jak królowa wami rządzi“.

„Królu — rzekli mu wielmoże —
Gdy na niebie księżyc zgaśnie,
Choćbyś wszystkie zebrał gwiazdy,
Nie zaświecą one jaśniej.
Choć w przepięknym twym ogrodzie
Róża wędnąc płatki roni,
Lecz ta róża, która wędnie,
Z najcudniejszej słynie woni.

Jednak z tobą się zgadzamy.
Taka więc jest nasza rada:
Ta, przy której gwiazdy bledną,
Niech od dzisiaj nami włada.
Gdyż rozumem swym przewyższa
Wszystkie inne ta dziewica.
Dzieci lwa są zawsze lwami,
Czy to lew jest, czy też lwica“.

Na zamczysku pośród dworzan
Był Awtandił, witeź młody,
Wódz naczelny, chrobry wojak,
Niebywałej wprost urody.
Dawno kochał już królownę,
Toteż pragnął najgoręcej,
By monarcha oddał władzę
W Tinatiny piękne ręce.

Z przyjacielem swym Sogratem
Wzniósł królownie piękny tron
I Arabów tłum dostojnych
Wnet się zebrał z różnych stron.
Wtedy przywiódł wódz naczelny
Nieulekłą swą drużynę,
Aby każdy dzielny rycerz
Mógł pozdrowić Tinatinę.

Podszedł król do Tinatiny
I schylając się przed tronem,
Najpierw berło oddał córce,
Potem włożył jej koronę.
Grzmią już trąby i cymbały.
Dźwięk ich głuszy rżenie koni.
Przed królową Tinatiną
Tłum do ziemi się pokłonił.

Płacze, płacze Tinatina,
Łzy po twarzy płyną ciurkiem.
Wtedy król się zbliżył do niej
I pocieszył smutną córkę:
„Nie płacz, dziecko! Tyś królowa,
A tej, która państwem włada,
Tu przed wojskiem i przed ludem
Łez wylewać nie wypada.

Popatrz, dobre słońko grzeje
I rozsiewa blask świetlany
I ty też bądź taka dobra
Dla narodów twych poddanych.
Sprawiedliwa bądź i szczodra,
Tak jak dusza ci podpowie:
Szczodrość sławę twą pomnoży
I serc ludzkich zjedna mrowie“.

Pocieszyły Tinatinę
Te ojcowskie słowa czule,
Więc natychmiast rozkazała
Słudźbie przynieść swą szkatułę
I po chwili, niosąc skarby,
Szereg sług do tronu ruszył,
A za nimi tabun koni
Przywiódł wierny jej koniuszy.

Uśmiech szczęścia oprzemienił
Twarz królowej Tinatiny,
Kiedy tłumom rozdawała
Konie, perły i rubiny.
Wszystkich sławnych wojowników
Obdarzyła hojnie złotem.
Kto biedakiem był dotychczas,
Ten bogatym stał się potem.

Dzień już z wolna jął dogasać,
Zaszło słońce purpurowe.
Pogrążywszy się w zadumie,
Król opuścił nisko głowę.
Więc Awtandił do Sograta
Rzekł: „Chcę z królem radość dzielić.
Trzeba jakiś żart wymyślić
I monarchę rozweselić“.

Wstają obaj. Swoje czarki
Napełniwszy winem z dzbana,
Wznoszą w górę i z uśmiechem
Idą wprost do Rostewana.
„Cóż się z tobą, władco, dzieje? —
Pierwszy Sograt się odzywa. —
Czemu piękne twe oblicze
Jakiś smutek mgłą okrywa?

Pewnie myślisz o swej córce
I wspominasz cenne dary,
Których tyle rozsypała
W obfitości, wprost bez miary.
Lepiej byłoby jej chyba
Nie dać tronu, bo jak sędzę,
Zbyt rozrzutnie puszcza z wiatrem
I klejnoty, i pieniądze“.

Król rzekł: „Śmiałyś, mój wezyrze!
Teraz widzę to dopiero —
Bo oszczerca nawet nie śmie
Rostewana nazwać sknerą.
Wspominając przeszłość sławną,
Tym się tylko zasmuciłem,
Że nikomu sztuk wojennych
Tajemnicy nie zwierzyłem.

Słuchaj, dzielny mój wezyrze,
Niech też słucha Tinatina:
Wszystko miałem na tym świecie,
Tylko Bóg mi nie dał syna.
Syn mój pewnie z łaski bożej
Byłby równie jak ja dzielny,
A dziś nikt mnie nie zastąpi —
Chyba tylko wódz naczelny“.

Widząc uśmiech Awtandiła,
Król po chwili spytał gniewnie:
„Czemu śmiejesz się, witeziu,
Zechcesz mi wyjaśnić pewnie?“
„Królu — odparł witeź młody —
Prawdę wyznać się odważę,
Ale przedtem chciej obiecać,
Że mnie za to nie ukarzesz.



Daruj, królu, lecz daremnie
Tym się chęłpisz na swym dworze,
Że w zręczności i odwadze
Nikt dorównać ci nie może.
Znam wojenną sztukę całą,
Bom krwi wrogiej sporo przelał.
Jeśli chcesz, to popróbujmy,
Kto z nas celniej z łuku strzela“.

Król Rostewan rzekł z uśmiechem:
„Masz, witeziu, słowo zgody!
Podejmuję twe wyzwanie,
Przygotować każ zawody!
Lecz pamiętaj, jeśli przegrasz,
Nie ominie ciebie kara,
Przez trzy doby będziesz chodził
Z gołą głową — więc się staraj!“

Znowu król się rozweselił,
Znowu śmiał się i żartował,
A Awtandił wraz z Sogratem
Dźwięcznym śmiechem mu wtórował.
Znów się ucza rozpoczęła,
Szmer radosny w krąg popłynął,
Zadymiły misy z jadleń,
Zaszumiało w kubkach wino.

Ledwie tylko pierwszy promień
Słońca padł na senne błonia,
A już młody wódz naczelny
Bojowego dosiadł konia.
Złotem tkany zawój wieńczył
Śnieżne czoło Awtandiła,
Broń, o siodło uderzając,
Skry miotała i dzwoniła.

Wkrótce ujrzał wódz dolinę
Otoczoną przez łuczników,
A w dolinie mnóstwo zwierząt
Jak w ogromnym mateczniku.
W dali gdzieś oddziały łowczych
Dmą już w rogi, aby graniem
Jak najwięcej zgonić zwierza
Wprost myśliwym na spotkanie.

Oto król się też pojawił,
Budząc podziw pięknym koniem,
I z szacunkiem niewolniczym
Słudzy zgięli się w ukłonie.
Tuż za królem przybył oddział
Jeźdźców zręcznych, jeźdźców śmiałych,
Tych, co mają zdobycz liczyć
Lub podawać nowe strzały.

„Więc do dzieła! — król zawołał. —
Bijmy zwierza, tylko celnie!“
Strzały dwie śmignęły z łuków,
Raniąc kozły dwa śmiertelnie.
Pył zakłębił się w dolinie,
Głucho zabrzmiał tętent koni,
Uciekając przed jeźdźcami,
Szczyty zwierz się w gąszczu chronił.

Coraz gęściej były strzały,
Padał jeden zwierz za drugim,
Ryk rozlegał się dokoła,
Krwi po ziemi ciekły strugi.
A myśliwi mknęli dalej,
Chmury strzał miotając w biegu.
Wreszcie konie zatrzymali
Na skalistym, stromym brzegu.

Tu kończyła się równina,
Las ogradzał ją i rzeka.
Zwierz, co z łowów wyszedł cało,
Coraz głębiej w las uciekał.
Król zawołał: „Zwyciężyłem!
Słudzy, weźcie moje strzały“.
„To ja, władco, zwyciężyłem!“ —
Odrzekł na to witeź śmiały.

Tak spierając się, żartując,
Ponad rzeką obaj stali,
A tymczasem słudzy zdobył
Najdokładniej przeliczali.
Król rzekł do nich: „Mówcie prawdę,
Choćby moją była kłeską.
Mówcie, ja czy wódz naczelny
Wyszedł z łowów tych zwycięsko?“

„Wybacz, władco — rzekli słudzy —
Choćbyś nas ukarał srogo,
Nasze usta przed monarchą
Kłamstwem skalać się nie mogą.
Dzisiaj spośród strzał królewskich
W ziemię wbita tkwi połowa,
Zaś Awtandił — wódz naczelny
Ani razu nie spudłował“.

Usłyszawszy takie wieści
Król uścisnął Awtandiła
I twarz jego zatroskaną
Szczerą radość rozjaśniła.
Wkrótce łowy zakończono
Okrzykami i trąb graniem,
A myśliwi zsiadli z koni,
By wypocząć na polanie.

OPOWIEŚĆ DRUGA

O TYM, JAK ROSTEWAN UJRZAŁ WITEZIA
W TYGRYSIEJ SKÓRZE



Wtem Rostewan zauważył,
Tuż na brzegu bystrej wody,
Cudoziemca nieznanego
Niebywalej wprost urody.
Siedzi junak, gorzko płacze,
Obok świetny rumak stoi,
Rumak czystej krwi arabskiej
W drogocennej, starej zbroi.

Młody witeź nieznamy
Z twarzą piękną, lecz ponurą
Cały kaftan ma okryty
Aż po pas tygrysią skórą.
W rękę trzyma kańczug tęgi —
Jego trzonek lśni od złota,
Miecz na długich rapciach zwisa
I wokoło iskry miota.

Król napatrzeć się nie może,
Podziw w jego oku błyska,
Woła sługę: „Jedź natychmiast!
Chcę witezia ujrzeć z bliska“.
Spełnia sługa rozkaz króla.
Przed witeziem się pokłonił,
Ale witeź nic nie słyszy,
Tylko łzy bez przerwy roni.

Cóż dla niego pozdrowienia,
Co mu tam królewski rozkaz,
Kiedy łzy wciąż z oczu płyną,
Serce zaś wypełnia troska.
Pobladł sługa wystraszony,
Twarz witezia pilnie śledzi
I choć rozkaz mu powtórzył,
Nie otrzymał odpowiedzi.

Wrócił sługa. Co tu robić?
Wzywa król dwunastu śmiałych
Sług najbardziej doświadczonych,
Bitnych, mężnych, żądnych chwały
I powiada: „Kolej na was!
Jeszcze mi się nie zdarzyło
Dwukroć wzywać cudzoziemca,
Więc sprowadźcie go tu siłą“.

Pojechali. Dzwoni oręż
I pył kłębi się na drodze.
Nieznajomy uniósł głowę.
„Biada mi!“ — rzekł. Ujął wodze,
Otarł oczy, miecz poprawił
I już stopę wkładał w strzemię,
Kiedy słudzy hurmą spadli,
Chcąc powalić go na ziemię.

Biada, biada, cóż się stało?
Witeż chwycił najbliższego,
Machnął w prawo, machnął w lewo,
Jednym sługą bił w drugiego,
Innych zaś kańczugiem ostrym
Tnąc na odlew, z siodła zwał.
Krew się lała, rżały konie,
Żaden sługa nie ocalał.

Król dał znak Awtandiłowi.
Pędzą obaj rozgniewani.
Cudoziemca rumak stąpa
Jak bajeczny koń Merani.
Jedzie witeź cały w blasku,
Ale smutek ma na twarzy.
Nagle dostrzegł groźną pogoń
I monarchę zauważył.

Zaciął konia, targnął cugle...
Koń posłuszny pańskiej ręce
Wzbił się w górę jak na skrzydłach
I nie widać go już więcej.
Ni rumaka, ni witezia,
Jakby w ziemię się zapadli!
Gdzież są ślady? — Nie znaleźli,
Choć szukali najdokładniej.

Zasmucony i markotny,
Król na zamek z łowów jedzie.
A tymczasem dwór się głowi,
Jak by mu dopomóc w biedzie.
Władca zamknął się w komnacie
I spoczywa zamyślony,
Cisza w zamku zagościła,
Dźwięcznych harf umilkły tony.

Wolno płynie czas na zamku,
Ciężko wloką się godziny.
Wtem król krzyknął: „Gdzie jest córka?
Poszukajcie Tinatiny!”
A gdy przyszła, rzecze do niej:
„Podziel ze mną me zmartwienie.
Dziś spotkało mnie na łowach
Niebywałe wydarzenie.

Jakiś witeź nieznajomy
Na tych łowach wszedł mi w drogę,
Tak wspaniały, urodziwy,
Że zapomnieć go nie mogę.
Siedział junak tuż przy rzece,
Roniąc gorzkie łzy bez końca,
Nawet z miejsca się nie ruszył,
Gdym po niego posłał gońca.

Chcąc witezia siłą zmusić,
Orszak sług wysłałem dzielnych,
Wtedy zmiażdżył ich, rozgromił,
Wysiekł wszystkich ten piekielnik.
Potem zniknął razem z koniem,
Niby zjawia się rozplynął
I nic więcej nie wiadomo,
Wszelki po nim ślad zaginął.

Utraciłem spokój cały,
Mrok w mym sercu teraz gości,
Przeminęły dni wesela,
Hucznych zabaw i radości.
Coraz ciężiej żyć na świecie,
A pociechę trudno znaleźć
I być może, że do śmierci
Nie doczekam się jej wcale!“

„Ojczy — prawi mu królowa —
Ty na tronie szczerozłotym
Jesteś władcą wszystkich królów
I królowie wiedzą o tym.
Poślij gońców zaufanych,
Niech objadą cały świat,
Niech witezia ci odnajdą
Albo wskażą jego ślad.



1382

Jeśli jest on śmiertelnikiem
Takim samym jak ja z tobą,
Z czasem znajdzie się na pewno,
Nie mu czary nie pomogą.
Jeśli demon to wcielony,
Co chciał tylko skusić króla,
Po cóż martwić się daremnie,
Po cóż nad tym się rozczulać?“

Tak też stało się. Nazajutrz
Wyjechali wcześniej z rana
Na słoneczne światła strony
Gońcy króla Rostewana.
Mija rok, a ich wciąż nie ma,
Król nie tai dłużej złości,
Wreszcie gońcy powrócili,
Wioząc smutne wiadomości:

„Objechaliśmy, monarcho,
W ciągu roku ziemię całą,
Lecz witezia nieznanego
Spotkać nam się nie udało“.
Zatroskane chyląc głowy,
Zakończyli gońcy chórem:
„Nie znaleźliśmy witezia,
Co tygrysią przywdział skórę“.

„Teraz wiem już! — król zawołał. —
Tinatina prawdę rzekła:
Ten, któregoście szukali,
Tu na ziemię przybył z piekła.
To nie witeź był, lecz demon,
Co się w każdą postać wciela,
Więc nie troszczmy się o niego,
Niech nastanie czas wesela!“

ԲՁԿ-155
ԿՕՅԻՐ

I wnet ognie zapłonęły,
Krzesząc ostry blask z agatów.
Zadzwończyły instrumenty,
Sprowadzono akrobatów.
Znowu uczty się zaczęły.
Darów cennych znów niemało
Rozdał ludziom król Rostewan
Ze szczodrością niebywałą.

Tylko dzielny wódz Awtandił
Z dała od królewskich gości,
W struny harfy uderzając,
Tęsknie dumał w samotności.
Nagle spostrzegł, że u progu
Murzyn chyli się w ukłonie
I powiada: „Córka króla
Prosi, abyś przybył do niej“.

Powstał witeź i bez zwłoki
Drogocenne włożył szaty.
O, jak mocno biło serce,
Gdy przekroczył próg komnaty.
Stanął wreszcie przed królowną,
W czarne wpatrzył się źrenice,
Chcąc wyłowić z mrocznej głębi
Jej bolesną tajemnicę.

Płaszcz srebrzysty, brokatowy
Zdobiał postać Tinatiny,
Na welonie zaś jaśniały
Cenne perły i rubiny,
Otaczając chłodnym blaskiem
Hebanowych splot warkoczów.
Stał Awtandił oniemiały
I oderwać nie mógł oczu.



Wreszcie szepnął: „O królowo,
Czemuś smutna, co cię boli?
Wyznaj szczerze powód troski,
Może ulżę twej niedoli“.
„Obcy witeź, ten znad rzeki,
W moim sercu budzi trwożę,
Dzień i noc go widzę wszędzie,
Uspokoić się nie mogę.

Wiem, że kochasz mnie od dawna.
Jeśli miłość twa prawdziwa,
Ty odnajdziesz go na pewno,
Choćby w piekle się ukrywał.
Weź demona do niewoli,
Wybaw mnie od strasznej męki,
Bądź mi lwem, a ja, twe słońce,
Nie odmówię ci swej ręki.

Więc go szukaj przez trzy lata.
Czas przeleci niby strzała.
Choćby ślad po tobie zginął,
Wiedz, że będę cię czekała.
Teraz złożmy ślubowanie,
Które będzie wypełnione:
Że gdy wrócisz z dobrą wieścią,
Wtedy pojdziesz mnie za żonę“.

„O — zawołał witeź — słońce!
Jak z agatów rzesy twoje!
Całym sercem ci przysięgam:
W tobie tylko mam ostoję!
Nieraz śmierci już szukałem —
Tyś mi życie rozjaśniła.
Każdą prośbę twoją spełnię,
O co byś mnie poprosiła“.

Po złożonym ślubowaniu
W uścisk splotły się ich dłonie.
Twarz królowej Tinatiny
Rubinowym blaskiem płonie.
Lecz nadchodzi czas rozstania
W ciężkim bólu i rozterce,
Kiedy w drogę jechać trzeba
Stąd, gdzie pragnie zostać serce.

Noc minęła pełna smutku,
Lecz nazajutrz, wcześniej z rana,
Już Awtandil uśmiechnięty
Stał przed tronem Rostewana.
„Królu — rzecze — czas najwyższy,
Bym trud wszelki mając za nic,
Wieść o rządach twojej córki
Do najdalszych zawiózł granic.

Wódz dostojnej Tinatiny
Równać się z królami może —
Wynagrodzę więc pokornych,
Niepokornych upokorzę.
Mieczem państwo jej umocnię
I z najdalszych stron daniny
Na zamczysko twe przywiozę
Dla królowej Tinatiny“.

„Lwie — rzekł król — ty w ciężkich bojach
Dni spędziłeś już niemało,
Toteż jeśli spełnisz zamysł,
Nową się okryjesz chwałą.
Zatem jedź i bywaj zdrowy,
Lecz pamiętaj także o tem,
Że mi wielką radość sprawisz,
Rychło jawiąc się z powrotem“.

Objął wodza król serdecznie,
Ucałował go jak syna...
Wyszedł witeź, powtarzając:
„Tinatina! Tinatina!“
Ujął cugle swego konia,
W złote strzemię wsunął nogę,
Spojrzał jeszcze raz na zamek
I w daleką ruszył drogę.

OPOWIEŚĆ TRZECIA

O TYM, JAK AWTANDIŁ WYRUSZYŁ
NA POSZUKIWANIE WITEZIA
W TYGRYSIEJ SKÓRZE



Po dwudziestu dniach Awtandił
Znalazł się w ojcowskim grodzie.
Tłumy wyszły na spotkanie:
Wojownicy, starcy, młodzież.
Niosą mnóstwo cennych darów,
Pragnąc uczcić władcy syna,
Ale on na zamek śpieszy,
By zobaczyć Szermadina.

Był to piastun Awtandiła,
Przywiązany doń niezmiernie.
Szczerze kochał, czcił młodzieńca
I od lat mu służył wiernie.
„Szermadynie, przyjacielu,
Ważną niosę ci nowinę.
Serce moje ogniem płonie:
Pokochałem Tinatinę.

Wiem, żeś słyszał o witeziu,
Co się króla nie zląkł wcale,
Ja z rozkazu Tinatiny
Muszę chwata tego znaleźć.
I odnajdę go na pewno,
Choćby ziemia go ukryła,
A w nagrodę Tinatina
Będzie żoną Awtandiła.

Szermadinie, już odjeżdżam,
Choć się serce z bólu krwawi,
A dowództwo wojsk arabskich
Pragnę tobie pozostawić.
Dzielnym wodzem bądź i śmiałym,
Nie ustępuj w boju za nic,
Dla królowej Tinatiny
Wiernie pilnuj kraju granic.

Ale w bitwach i w pochodach
Bądź z sumieniem zawsze zgodny,
Przyjm ode mnie pancierz w darze
I miecz w boju niezawodny.
Działaj tak, by nasz monarcha
Nic nie wiedział o mej doli,
Ślij mu darów jak najwięcej
Z twoich grodów i okolic.

Czekaj na mnie przez trzy lata.
Może taki dzień nastanie,
Że powrócę do królowej
Wypełniwszy swe zadanie.
Jeśli nie, to błagam ciebie,
Wspomnij druha Awtandiła —
W świecie gdzieś pod obcym niebem
Świeża skryje go mogiła“.

Łzami zalał się Szermadin,
Lecz nie wyrzekł ani słowa.
Witeź wskoczył na rumaka
I przed siebie pocwałował.
Koń unosi jeźdźca polem.
Coraz dalej za plecami
Gród rodzinny pozostaje
Najeżony wieżycami.

Minął jeden rok za drugim,
Ku końcowi trzeci bieży.
Ziemi szmat przejechał tułacz,
Wiele bied i nieszczęść przeżył.
Deszcz go siekł i ostry wicher
Zwalał z nóg. I nieraz witeź,
Z zimna drżąc, na gołej ziemi
Głodny budził się przed świtem.

Po szerokim świecie błędząc,
Przebył różnych dróg niemało,
Lecz w tygryskiej skórze jeźdźca
Znaleźć mu się nie udało.
Z wolna gaśnie w nim nadzieja.
Z Tinatiną rozłączony,
Zaczął więdnąć jak kwiat róży
Pierwszym śniegiem przyprószony.

Kiedyś wreszcie spostrzegł w drodze,
Że sił kresu koń jest blisko,
Więc zatrzymał się przy źródle,
Zebrał chrustu na ognisko,
Wbił na rożen udziec sarny,
Ugodzonej celną strzałą,
I wpatrzony w drganie ognia,
Oparł skroń o skalny załom.

Wtem trzech jacyś cudzoziemcy
Koło źródła się zjawili.
Jeden z nich był ciężko ranny,
Dwaj go z trudem prowadzili.
„Stać, ni kroku! Rozbójnicy! —
Krzyknął witeź. — Pókim dobry!“
„Mylisz się — odparli na to. —
Pomóż nam, witeziu chrobry!



Braci stoi trzech przed tobą
Z Chataeti wszyscy rodem.
Dzisiaj w pogoń za jeleniem
Wyruszyliśmy przed wschodem.
Wtem nam witeź przeciął drogę —
Witeź blady i ponury.
Koń przecudny jak Merani
W rączym biegu niósł go z góry.

Podjechaliśmy do niego,
Chcąc powitać jak należy,
Nagle witeź konia wstrzymał
I kańczugiem cios wymierzył.
Brat najmłodszy dobył miecza,
Lecz go witeź ciął na odlew,
Wbił ostrogi w boki konia
I przed nami uciekł podle.

Popatrz tylko — rzekli bracia. —
Tam gdzie kończy się dolina,
Teraz widać go wyraźnie,
Jak na skalny grzbiet się wspina“.
Patrzył, patrzył w dal Awtandił,
Wreszcie poznał go z daleka.
„Tak, to on — w tygryskiej skórze!
On przed wami tam ucieka.

A więc jednak nie na darmo
Marnowałem w trudach życie“.
Rzekł do braci: „Przy ognisku
Wy się teraz posilicie,
Odpoczniecie tu do rana,
Przed wyjazdem w dalszą drogę,
A ja muszę was pożegnać,
Dłużej zostać tu nie mogę“.

I jak wicher ruszył w pogoń,
Rozmyślając z niepokojem:
„Jeśli zechcę go zatrzymać,
To się musi skończyć bojem.
Nierozsądny bój przyniesie
Śmierć jednego z nas na pewno,
Więc inaczej trzeba działać —
Nie zawiodę cię, królewno!

Będę jechał za nim skrycie
W tak dalekiej odległości,
Aby witeź nie mógł dostrzec,
Że w trop za nim idzie pościg.
Kto wie, może do schroniska
Rączy koń witezia niesie?
Przecież nawet dziki zwierzę ma
Ciepłe leże w gęstym lesie“.

Przeszły dwa dni i dwie noce —
Droga dłuży się bez końca.
Rumak mknąc po górskich ścieżkach
Grad kamieni w przepaść strąca.
A na trzeci dzień Awtandił
Ujrzał, jak okryty pianą
Koł witezia przebył rzekę
I^{sz} na stromym brzegu stanął.

Tu w zaroślach widać było,
U podnóża stromej góry,
Tajne wejście do pieczary.
Przy nim w stroju z owczej skóry
Stało dziewczę zatroskane —
Łzy rosły jej oblicze.
Witeź z konia zsiadł i westchnął:
„Powróciłem znowu z niczem.

Znowu Asmat, siostró droga,
Łzy strumieniem z oczu płyną.
Nie znalazłem i tym razem
Tej, po której ślad zaginał!“
Tu się witeź w pierś uderzył
Dłonią twardą jak ze stali
I objąwszy się oboje
Łez potoki wylewali.

O TYM, JAK AWTANDIŁ
SPOTKAŁ SIĘ Z TARIJELEM



Tuż przed świtem, smutny witeź
Na wędrowkę nową ruszył,
Zaś Awtandił skryty w gąszczu
Poczuł radość w głębi duszy.
Teraz wszystko się wyjaśni —
Coraz mocniej serce bije —
Wnet witezia tajemnicę
Piękna Asmat mu odkryje.

Porzuciwszy swą kryjówkę,
Do pieczary prosto zmierza.
Asmat słysząc jego kroki
W półotwartych staję dźwierzach
I powiada: „Tarijelu,
Powróciłeś? Cóż się stało?“
Lecz Tarijel był daleko,
Obcy człowiek stał pod skałą.

Okrzyk trwogi ściany grotu
Gromkim echem powtórzyły,
Gdy Awtandił ją pochwycił
I przytrzymał z całej siły.
„Tarijelu, śpiesz na pomoc!“ —
Zawodziła przerażona
I miotła się jak gołąb
W zaciśniętych orla szponach.

„Nie płacz, nie płacz — szepnął witeź
Opadając na kolana —
I daremnie nie krzycz, Asmat,
Głos twój ginie w skalnych ścianach.
Żadnej krzywdy ci nie zrobię.
O to proszę cię jedynie,
Byś wyznała, kim jest witeź,
Co przed chwilą znikł w dolinie“.

„Próżny trud twój — rzekło dziewczę
Łzy ścierając z twarzy — bowiem
Choćbyś śmiercią mi zagroził,
Słowa o nim ci nie powiem.
Złożonemu ślubowaniu
Sprzeniewierzyć się nie sposób.
Każdy z nas się poddać musi
Wyrokowi swego losu“.

„Asmat droga, ty mnie nie znasz.
Nawet o tym nie wiesz wcale,
Że trzy lata się tułałem,
By witezia tego znaleźć.
W tobie cała ma nadzieja —
Rzekł błagalnie do dziewicy —
Uchyl wreszcie przed tułaczem
Chociaż rąbek tajemnicy“.

„Czemuż jesteś tak okrutny,
Że zadajesz mi cierpienie?
Niepotrzebnie mnie namawiasz,
Słowa swego już nie zmienię.
Zrobisz ze mną to, co zechcesz,
Mój przyjaciel w świat wyruszył —
Choćbyś skazał mnie na męki,
Nikt mym losem się nie wzruszy“.

Oszalały z gniewu witeź
Długo nie mógł dobyć głosu,
Wreszcie schwycił dumną Asmat
Za rozwiane sploty włosów,
Nóż do gardła jej przyłożył
I rzekł: „Śmierć cię nie ominie.
Niech umiera wróg mój każdy
Tak, jak ty za chwilę zginiesz!“

„O witeziu! — rzekła Asmat. —
Chętnie zginę z twojej ręki —
Wolę znaleźć się w mogile
Niż za życia cierpieć męki.
Umierając wierna ślubom,
Tym jedynie się poszczycę,
Że na wieki wezmę z sobą
Powierzoną tajemnicę“.

Wypadł nóż z rąk Awtandila.
Serce z bólu mu zamarło.
Twarz pobladła i po chwili
Szloch pochwycił go za gardło.
Runął witeź przed dziewicą
I miotając się w rozpacz,
Najczulszymi błagał słowy,
By zechciała mu przebaczyć.

Wtedy zmięкло serce Asmat,
Łza w jej oku się zaszkliła.
Witeź wznosił się na kolana
I zawołał: „Siestro miła!
Chciej wybaczyć szaleńcowi,
Co z miłości rozum stracił,
Za życzliwe twoje słowo
Chętnie życiem bym zapłacił.

Bom szaleniec — zakochany.
Los od szczęścia mnie oddziela.
Z woli cudnej Tinatiny
Szukam twego przyjaciela.
Więc ulituj się nade mną,
Bym mógł wrócić do kochanej.
Ocal życie szaleńcowi
Lub śmiertelną zadaj ranę“.

„O witeziu — rzekła Asmat —
Żal mi ciebie, żal ogromnie,
Lecz się nigdy nie spodziewaj
Wiarołomnej zdrady po mnie.
Pomóc tobie może tylko
Ten, któremu wiernie służę —
Tarijel dostojny witeź,
Co w tygrysięj chodzi skórze.

Mój nieszczęsny pan i władca
Wkrótce tutaj znów przyjedzie.
Niechaj on ci sam opowie
O miłości swej i biedzie.
Ja postaram się, by witeź
Przyjął ciebie jako brata,
Bądź więc jak najlepszej myśli:
Za trud spotka cię zapłata“.

Nagle tętent usłyszeli
I urwała się rozmowa.
Koń przecudny jak Merani
Na brzeg rzeki przycwałował,
Przebył rzekę, na ląd wyszedł
I okryty śnieżną pianą,
Świetlanego wioząc jeźdźca,
Przed wrotami groty stanął.

Wierna słowom obietnicy,
Skrywszy w grocie Awtandila,
Asmat jeźdźca powitała
I pochodnię zapaliła.
Zasiadł witeź do wieczerzy,
Obok złożył swój ryszstunek
I zamyslił się głęboko,
Udręczony przez frasunek.

„O witeziu — rzekła Asmat —
Dzień za dniem daremnie płynie.
Trudno tulać się po górach,
Mknać samotnie przez pustynie.
Jeśli zginiesz, żal i rozpacz
Ją do śmierci wnet przywiedzie.
Ciężko temu, kto nie może
Przyjaciela znaleźć w biedzie“.

„Siostro — odparł biedny witeź —
Któż pośpieszy nam z pomocą?
Kto złagodzi ból, co ściska
Moje serce dniem i nocą?
Snadź pod gwiazdą nieszczęśliwą —
Dodał z żalem — świat ujrzałem
I dlatego przyjaciela
Nigdy dotąd nie spotkałem!“

„Chciej wysłuchać mnie, witeziu —
Asmat trwoźnie wyszeptala —
Gdybym tylko twego gniewu
Bezgranicznie się nie bała,
To znalazłabym człowieka
Oddanego ci niezmiernie.
W ogień poszedłby za tobą
I do śmierci służył wiernie“.



„Mogę przysiąc ci — zawołał
Tarijel — na swoją miłość,
Że choć jestem jak to zwierzę,
Co od stada się odbiło,
Jeśli ktoś przede mną stanie,
Dłoń przyjazną mi ukaże,
Ja przywitam go jak brata
I miłością go obdarzę!“

„Wyjdź, witeziu“ — rzekła Asmat.
Gdy Awtandił się pojawił,
Tarijel wpił w niego oczy
I przyglądał się ciekawie.
Obaj stali jak dwa słońca,
Jak księżycy w noc pogodną,
Pocałunek spał ich przyjaźń
Aż do grobu niezawodną.

„O witeziu — rzekł Tarijel. —
Błagam ciebie, bracie, wyznaj,
Ktoś ty jest, jak cyprys smukły,
Gdzie i jaka twa ojczyzna?
Podaj mi pomocną rękę.
Nawet śmierć mną pogardziła,
Serce moje mrze jak róża,
Która szronem się pokryła“.

Rzekł Awtandił: „Lwie potężny!
Któż się z tobą równać może?
Jam jest Arab — wódz naczelny.
Na królewskim kiedyś dworze
Serce swoje zostawiłem
Tej, co państwem naszym włada,
I miłosnym płonąć ogniem
Mało zmysłów nie postradam.

Wspomnij dzień ten, gdyś nad rzeką
Zwalił oddział sług pokotem
I na cudnym swym rumaku
Jak duch zniknął. Wkrótce potem
Król rozkazał cię odnaleźć —
Lotnych gońców wysłał w świat.
Gońcy ziemię objechali,
Nie trafili na twój ślad.

Wtedy rzekła mi królowna:
»Jeśli znajdziesz bohatera,
To zostanę twoją żoną«.
Całą prawdę znasz już teraz.
Trzeci rok daremnie tracę
Na samotnej poniewierce.
Powiedz, jak wytrzymać mogło
I nie pękło moje serce?

Poprzez lasy, poprzez góry,
Przez pustynie wędrowałem,
Wreszcie jak z promiennym słońcem
Dzisiaj z tobą się spotkałem.
Los szczęśliwy błogosławiąc
Tu, u kresu już podróży,
Gotów jestem swą przyjaźnią
Aż do śmierci tobie służyć“.

Po tych słowach w mrocznej grocie
Zabrzmiął okrzyk Tarijela:
„Nic droższego nie ma w świecie
Od wiernego przyjaciela!
Wszystkich w świecie zakochanych
Łączy prawo niby braci,
Rozdzieliwszy cię z królowną,
Cóż ja mogę w zamian dać ci?



Jak potrafię opowiedzieć,
Całą prawdę jak odkryję,
Czemu tu, w tygryskiej skórze,
Na bezludziu głuchym żyję?
Gdy otworzę tylko usta,
Znowu rozpacz mnie ogarnie
I w nieziemski wtrąci ogień
Na katusze i męczarnie.

Powstań, Asmat, siostró droga,
Przynieś wody pełny dzbanek.
Kiedy z ust mych zaczną płynąć
Słowa na wpół obłąkane,
Pierś mą zwilżaj zimną wodą,
Abym znów odzyskał siły.
Jeśli umrę — moim domem
Będzie chłodny mrok mogiły“.

I tygrysią zdjąwszy skórę,
Witeź był podobny teraz
Do złocistej smugi słońca,
Co przez chmury się przedziera.
Najpierw szloch mu zdławił gardło,
Po czym młodzian stłumił łkanie
I zebrawszy wszystkie siły,
Zaczął swe opowiadanie.

OPOWIEŚĆ PIĄTA

O TYM, JAK TARIJEL POKOCHAŁ NESTAN-DAREDŻAN
I ZOSTAŁ PRZEZ NIĄ WYSLANY
NA POSKROMIENIE CHATAWÓW



Na indyjskich sześciu tronach,
Ziemią sześciu królestw władał
Plemion bratnich wódz i ojciec,
Przepotężny król Farsadan.
Gdy mój ojciec — siódmy władca —
Przybył doń z poddańczym darem,
On go przyjął najlaskawiej
I mianował emirbarem.

Mądrość wodzów w zamku króla
Młodość moją ukształciła.
Kiedy żona Farsadana
Piękną córkę mu powiła,
Byłem już otrokiem tęgim,
Co lwy dusił mocną ręką,
A urodę mą niezwykłą
Porównywał lud z jutrzenką.

Nestan-Daredżan, królewne
Małą, znałem doskonale.
Z bezoarów potem basztę
Wybudował król na skale.
(Bezoar — cudowny kamień,
Co od wszelkich chorób chroni).
I mieszkała w niej królowna
Wśród kadzidel słodkiej woni.

Tajne wejście do jej komnat
Skryte było za tkaniną.
Cudny zapach aloesu
Nieprzerwanie stamtąd płynął,
A przed basztą strugi wody
Rozlewały w krąg fontanny
I słowików w złotych klatkach
Śpiew rozbrzmiewał nieustanny.

Mądra Dawar, siostra króla,
Co w Kadzeti owdowiała,
Nad królowną dniem i nocą
Swą opiekę roztaczała.
Dwie usłużne powiernice
U stóp słały jej kobierce,
Lecz królowna tylko Asmat
Polubiła całym sercem.

Raz na łowach król rzekł do mnie:
»Jeśli trochę czasu masz ty,
Zdobycz naszą zawieziemy
Córce mojej wprost do baszty«.
Przytroczyłem więc do siodła
Ustrzelone w locie ptactwo
I po chwili już na miejscu
Zatrzymałem się z mym władcą.

Tu pod murem szmaragdowym,
Gdzie cyprysy wiatr pochylił,
U fontanny kryształowej
Twarze z kurzuśmy obmyli.
Po czym król, zasłonę wznosząc,
Do dziewiczej wszedł komnaty.
Ja u progu pozostałem,
Dzierżąc w dłoni łup skrzydlaty.

Znów zasłona się uniosła.
Wyszła Asmat wolnym krokiem
I z rąk moich dar przyjęła.
Za kotarą, błędząc wzrokiem,
Zobaczyłem wtedy Nestan —
Jej spojrzenie złotą strzałą
Biedne serce me przeszło
I rozsądek odebrało!“

Padł zemdlony po tych słowach,
Ale Asmat, stojąc blisko,
Skronie wodą mu zwilżyła,
Więc przytomność wnet odzyskał.
Ciężko westchnął pełną pierśią
I wstrzymując z trudem łkanie
Zapatrzony w Awtandila
Ciągnął swe opowiadanie:

„Padłem wtedy nieprzytomnie.
Jak przebite złotą igłą
Serce mi zatrzepotało
I na długi czas zastygło.
Ocuciłem się na łożu.
Stał nade mną zdjęty bólem
Mój monarcha, dwaj lekarze
I dwór cały tuż za królem.

Otoczyli mnie kapłani
I od rana do wieczora
Słyszeć było śpiewy mullów
Czytających na głos Koran.
Wkrótce wieści się rozeszły,
Że mnie rychło spotka zguba,
Że zostałem opętany
Przez samego Belzebuba.

Tak przez trzy dni i trzy noce
Śmierć się we mnie biła z życiem.
Wreszcie z trudem dnia czwartego
Pokonałem śmierć o świcie.
Wstałem z łoża, ale w sercu
Czułem wciąż płomienną ranę
I twarz moją dawniej jasną
Pomalował ból szafranem.

Kiedys wreszcie o północy,
Bezszelestnie jak widziadło,
Asmat u mnie się zjawiała
Otulona szczelnie czadrą.
»List przynoszę ci, witeziu,
Przez królową tu przysłana,
Więc go czytaj jak najprędzej —
Niech się w sercu zgoi rana«.

W liście te znalazłem słowa:
»Lwie, w mym sercu miłość gości.
Będę twoją, ale błagam,
Nie poddawaj się słabości.
Bohaterstwem winien błysnąć
Witeż szczerze zakochany.
Ruszaj zbrojnie na Chatawów!
Uśmierz kraj ich zbuntowany.

Lwie, na polach krwawych bitew
Czeka ciebie przyszłość sławna,
Więc daremnie nie trać czasu —
Wiedz, że kocham cię od dawna.
Silny bądź i nieulekły,
A gdy będziesz z wrogiem bić się,
Pomnij zawsze o miłości,
Co rozjaśnia twoje życie«.

Kiedym czytał drogie słowa
Raz dziesiąty już bez mała,
Radość w serce me wstąpiła,
Dusza we mnie zmartwychwstała.
Wynagrodzić chciałem Asmat
Rubinami zdobną czarą,
Lecz pierścionek tylko wzięła
I zniknęła za kotarą.

Ojciec mój już dawno umarł.
Władzę po nim ja objąłem,
Gdy od granic naszych włości
Przyszły wieści niewesołe.
Chatawowie zaprzestali
Sklądać władcy lenne dary
I Farsadan rozgniewany
Żądał na nich srogiej kary.

Więc zebrałem liczne wojska
Nad granicą Chataeti,
A tymczasem wróg podstępny
Chciał mnie zdradą chwycić w sieci.
Ich król Ramaz, śląc mi dary,
Wydał rozkaz, by wielmoże
Oświadczyli: »Z Tarijelem
Wojny wygrać nikt nie może.

Poddajemy się bez walki.
Możesz zakuć nas w okowy.
A za nasze wiarołomstwo
Kraj zapłacić jest gotowy.
Wyślij wojska swe do domu
I przyjeżdżaj do nas śmiało.
Wszystkie skarby ci oddamy,
A jest bogactw tych niemało«.

Wietrząc podstęp w słowach króla,
Taką dałem mu odpowiedź:
»Nie rozpocznę z tobą wojny,
Lecz, Ramazie, czynem dowiedz,
Że ukorzyć się potrafisz
Przed monarchą Farsadanem.
Ja zaś jako twój przyjaciel
W Chataeti jutro stanę«.

Trzystu chobrych wojowników
Do swej świty przydzieliłem
I odziewszy w świetne zbroje
Do Ramaza pośpieszyłem,
Pozostałym dałem rozkaz:
»Jedźcie z dala naszym śladem
I z pomocą przybywajcie,
Jeśli wróg zamyślił zdradę«.

W drodze, gdy mój dzielny rumak
Na wysokim stanął wzgórzu,
Po pustyni błędząc wzrokiem
Zobaczyłem kłęby kurzu.
To Chatawów wraz z wojska
Rozsypały się półkolem,
Aby napaść na bezbronnych
I zagarnąć nas w niewolę.

Wierząc w triumf niezawodny,
Po wojennym krocząc szlaku,
Ramaz ogień kazał wzniecić
Jako sygnał do ataku.
Pędzą. Już się wraz z wojsko
W krwawej bitwie z nami zwarło.
Łuk zaśpiewał. Pierwszy jeździec
Padł trafiony strzałą w gardło.

Rżą rumaki wystraszone.
Polecilem duszę Bogu
I jak jastrząb na przepiórki
Tak rzuciłem się na wrogów.
Pękła dzida grzęznąć w ciałach.
Z pochwy ostry miecz wyrwałem,
Ciąłem w lewo, ciąłem w prawo,
Otoczony trupów zwałem.

I choć coraz nowe pułki
Słał król Ramaz w gniewie srogim,
Niby krwawy demon śmierci,
Wybijalem je do nogi.
Wróg zacieśniał swe szeregi,
Ale mieczem moim cięty
Spadał z siodła głową na dół,
Wyciągając w niebo pięty.

Z wolna zmrok ogarnął ziemię,
Grożąc świcie mej zagładą,
Gdy na wzgórzu Chataw — strażnik
Gromko w róg na trwozę zadął.
Dojrzał w dali moje wojska,
Co z pomocą szły jak burza.
Grzmoty kotłów i litaurów
Echem niosły się po wzgórzach.

Na Chatawów padł strach błady.
Do ucieczki się rzucili,
Ramaz chciał się skryć w szeregach,
Lecz dopadłem go w tej chwili.
Uderzając płazem miecza,
Obaliłem zdrajcę z siodła.
Świta go obezwładniła
I w jeniecki krąg zawiodła.

Rozkaz króla wypełniłem.
Wśród zwycięskich wojska krzyków
Do ojczyzny powróciłem,
Wiodąc tłumy niewolników,
Wioząc w jukach skarby mnogie.
Gromadzone z różnych lądów.
Z trudem mogło je udźwignąć
Tysiąc mułów i wielbłądów.

Sobie tylko zatrzymałem
Spośród bogactw nieprzebranych
Turban czarny — cud nad cudy —
Czarodziejską sztuką tkany.
Kto go utkał, z jakiej przędzy,
Tego nie wie nikt na świecie.
Raz był czarny niby heban,
To znów blask promienny niecił.

Gdym w ten turban przystrojony
Przybył na dwór Farsadana,
Król powitał mnie jak syna,
A lud upadł na kolana.
Rozejrzawszy się dokoła,
Zobaczyłem moją miłą.
Serce mi zatrzepotało,
Szczęście duszę rozjaśniło.

Łask doznałem wtedy wiele
I dobrodziejstw z króla ręki.
Gdy na ucztach triumfalnych
Brzmiały pieśni i lir dźwięki,
Wśród radosnych biesiadników,
W oczy moje zapatrzona,
Zasiadała uśmiechnięta
I promienna szczęściem — ona.

OPOWIEŚĆ SZÓSTA

O TYM, JAK SWATANO NESTAN-DAREDŽAN



Kiedyś rankiem król z królową
Do pałacu mnie wezwali.
»Witaj, Lwie! — zawołał władca,
Gdym w tronowej stanął sali. —
Jak wiesz, Bóg nam nie dał syna,
Córkę tylko jedną mamy.
Nim się córki los rozstrzygnie,
Twojej rady posłuchamy.

Trudno — starość to nie radość.
Już nie dźwignąć mi oręża!
Czas przekazać miecz i władzę
W ręce córki naszej męża.
Niech na czele wojsk indyjskich
Młody król do boju staje.
Jak ja niegdyś, niech panuje,
Nowe niech zdobywa kraje«.

»Na cóż tutaj moja rada —
Rzekłem — wszyscy wiedzą przecie,
Że piękniejszej od królowny
Nikt nie znajdzie w całym świecie.
Każdy wybór przyjmie chętnie,
Rad zasiądzie na tym tronie,
Lecz ty, królu, wiesz najlepiej,
Gdzie go znaleźć, w jakiej stronie«.

»Nam królewicz chorezmijski
Godnym Nestan się wydaję
— Odparł król, a ja poczułem,
Że mi serce bić przestaje.
»Tak — poparła go królowa —
Szach Chorezmu władca przedni,
A syn jego dzielny junak,
Mąż dla Nestan odpowiednik.

Zrozumiałem. Król z królową
Cały plan ułożył wcześniej.
W głowie mojej powstał zamęt.
Półprzytomny, niby we śnie
Pochwaliłem wybór męża
I bezsilnie gryząc wargi,
Opuściłem salę przyjęć
Bez jednego słowa skargi.

Do młodego królewicza
Ruszył posłów strojny orszak,
A mnie rozpacz ogarnęła
Wielekroć od śmierci gorsza.
Wtedy właśnie dobra Asmat
List tajemnie mi przysłała:
»Przyjdź do baszty jak najprędzej,
Oczekuję cię przy skalach».

Pojechałem, a pod murem
Ledwie zeskoczyłem z siodła,
Asmat wrota otworzyła
I w milczeniu mnie powiodła.
Cicho szliśmy przez krużganki,
Korytarze i pokoje,
Wreszcie znowu ją ujrzałem,
Tę, co wzięła serce moje.

Niby młoda tygryśca
Z nieudanych łowów gniewna,
Wzrokiem pełnym niemej wzgardy
Obrzuciła mnie królowna.
Siekła mnie błyskawicami
Oczu, z których łzy spływały.
Opuściłem na pierś głowę
I czekałem oniemiały.

»Więc przyszedłeś — zawołała —
Wiarołomco, zdrajco podły!
Nic ci skrucha nie pomoże!
Ja do nieba wznoszę modły,
Aby za to, żeś ślub zламаł
I cześć moją okrył sromem,
Bóg stokrotnie cię ukarał
I poraził jasnym gromem«.

»O królowno! Co ty mówisz?
Skąd wyrzutu słowa twarde?
Nic takiego nie zrobiłem,
By zasłużyć na pogardę.
»Kłamstwo — rzekła gniewna Nestan —
Kłamstwo, podstęp i obluda.
Raz udało ci się zwieść mnie,
Drugi raz już się nie uda!

Chcą mnie wydać wbrew mej woli
Za wstrętnego mi człowieka,
A tyś zgodę swą wyraził
I nie drgnęła ci powieka.
Nazbyt prędko zapomniałeś
O przysiędze i miłości.
Chciałeś prawdy się dowiedzieć,
A więc masz ją! Chyba dość ci?

I pamiętaj, jeśli w Indiach
Obcy zechce objąć władzę,
To ja, wierna prawom przodków,
Cudzoziemca sama zgładzę.
Ciebie zaś, żeś złamał śluby,
Chociaż widzisz, że dziś płaczę,
Na śmierć wydám bez litości —
Wiarołomstwa nie przebaczę!»

Wiarołomstwa zarzut straszny
Duszę hańbą mi omroczył.
Jak niewinność swą wykazać?
Na królownę wzniosłem oczy
I spostrzegłem — u wezglowia
Leżał Koran wpółotwarty.
Pochwyciłem go i rzekłem:
»Klnę się na tej księgi karty!

Niech Bóg srogo mnie ukarze,
Niechaj zgładzi jasnym gromem
I mogiły mrok wilgotny
Niech się stanie moim domem.
Niech sto nieszczęść na mnie spadnie,
Wszelkie męki i katusze,
Jeśli kłamstwem usta skalam,
Jeśli prawdę w czymś naruszę!

Poprzysięgam na ten Koran
I honorem to zaręczam,
Że już dawniej król ci wybrał
Na małżonka cudzoziemca.
Któż królowi się sprzeciwi,
Gdzież się znajdzie taki śmiałek?
Więc i ja, posłuszny witeź,
Tłumiąc w sercu ból, milczałem.

Z synem szacha cię ożenić
Postanowił król z królową.
Cóż poradzić mogłem na to,
Jak sprzeciwu wyrzec słowo?
Bo ja tylko miałem prawo
Ojca twego być dziedzicem,
Lecz on nie chciał mnie za zięcia,
Posłał swaty za granicę.

Zaprzestańmy próżnych sporów,
Tu inaczej trzeba działać.
Choćbyś po tych szczerych słowach
Nie wiem co mi powiedziała —
Z wolą króla czy wbrew woli,
Ja nie oddam cię nikomu.
Lecz o jedno tylko błagam:
Nie odtrącaj mnie, dopomóż!«

Na te słowa uśmiech szczęścia
Na twarz milej mej wytrysnął.
Spoza warg jej koralowych
Rząd wspaniałych pereł błysnął
I z cudownym tym uśmiechem
Dłoń składając w moje dłonie
Ugasiła blaskiem oczu
Gorejący gniewu płomień.

Wtedy rzekła: »Mądry walczy —
Głupiec ciosy znosi kornie,
Więc działajmy teraz wspólnie,
Ale mądrze i przezornie.
Gdybyś wstrzymał królewicza,
Kiedy wrócą z nim posłowie,
Król rozgniewa się i wkrótce
O miłości twej się dowie.

Jeśli jednak tu przybędzie
Ten królewicz nienawistny
I mój ojciec ślub wymusi —
Bunt ogarnie kraj ojczysty,
Krew popłynie strumieniami
I zginiemy wszyscy razem,
A Persowie ziemię naszą
Zniszczą ogniem i żelazem».

»O królowno ukochana! —
Rzekłem biorąc ją w ramiona. —
Nie dostanie się obcemu
Berło Indii ni korona!
Będę czekał tu cierpliwie,
Aż się zjawi świta cała,
I wybije ją do nogi!«
»Nie! — królowna zawołała. —

Jeśli świętę całą zgładzisz,
Zwrócisz przeciw sobie serca.
Lud okrzyknie, że niewinną
Krew przelewasz, żeś morderca.
Zabij tylko królewicza:
Do namiotu w nocnej porze
Wśliźnij się i śmierć zadawszy,
Na królewskim zjaw się dworze.

— Królu — powiedz — jam ci służył
Tak, jak każdy z twych rycerzy.
Lecz mój ród — to ród królewski,
Mnie się Indii tron należy.
Żaden obcy nie ma prawa
Siąść jak władca na tym tronie.
Gdybyś gwałtem go wprowadził,
Ziemia nasza w krwi utonie.

O miłości swojej do mnie
Ojcu memu nie wspominaj,
By nie padło podejrzenie,
Że w niej działań twych przyczyna.
Chociaż wiem, że Farsadana
Słowa twe napelnia bólem,
Ja cię nigdy nie opuszczę,
Będziesz mężem mym i królem!»

Utraciwszy rozum do cna,
Pochwaliłem plan dziewicy.
Chorezmijczyk był już w drodze,
Już się zbliżał do stolicy.
Bezgranicznie zakochany,
Ogarnięty buntu szałem,
Królewicza nieszczęsnego
Zabić skrycie obiecałem.

Wtedy Nestan bransoletę
Dała mi na pożegnanie.
Wziąłem ten zadatek szczęścia
I ukryłem go w turbanie.
W tym turbanie czarodziejskim,
Najcudniejszym chyba w świecie,
Co raz czarny był jak heban,
To znów blask promienny niecił“.

Tu boleśnie westchnął witeź,
Skłonił głowę i bez słowa
Bransoletę, dar królowny,
Kilkakrotnie ucałował.
Promień świtu wpadł do grotty,
Dzień już budził się w parowie,
Kiedy ocknął się Tarijel
I snuł dalej swą opowieść.

OPOWIEŚĆ SIÓDMA

O TYM, JAK TARIJEL
ZABIŁ CHOREZMIJSKIEGO KRÓLEWICZA



Przybył wreszcie narzeczony
W otoczeniu pysznej świty.
Razem z nim przyjechał oddział
Wojowników znakomitych.
Przyjmowaliśmy ich godnie,
Darów daliśmy niemało,
Nasze wojsko w zwartym szyku
U wrót grodu go witało.

By królewicz mógł wypocząć,
Zanim w swym pałacu stanie,
Służba namiot mu rozbiła
W samym środku na majdanie.
Z czerwonego był atlasu
Namiot — miejsce mojej zbrodni.
Dookoła straże stały
W blasku ognisk i pochodni.

O północy, gdy do domu
Mknął mój rumak niby strzała,
Ktoś zatrzymał mnie, list podał...
»Śpiesz się! — Asmat w nim pisała. —
Nestan-Daredżan królownę
Twa powolność niepokoi.
Czeka cię...« Od ptaka szybciej
Byłem już przy miłej mojej.



Pokloniwszy się, spostrzegłem,
Że mrok okrył twarz królowny.
Groźnym wzrokiem mnie przeszyla
I spytała głosem gniewnym:
»Na cóż czekasz? Czas rozstania
Widać tobie się nie dłuży.
Możesz już zapomniał o mnie
Lub w ostatniej chwili stchórzył?«

Serce mi zamarło w piersi.
Jakże mogła wyrzec do mnie,
Żem się przeląkł lub — o zgrozo! —
O miłości mógł zapomnieć?
Lecz zginając się w ukłonie,
Tłumiąc gniewu słowa wściekle,
Powiedziałem tylko dumnie:
»Będzie tak, jak ci przyrzekłem!«

Z najwierniejszych swoich wojów
Doborowy wziąłem zastęp
I na majdan popędziłem.
Już ogniska dawno zgasły.
Spały straże chorezmijskie.
Zsiadłem z konia. Bezszelestnie
Pełzłem z wolna do namiotu,
Gdzie królewicz leżał we śnie.

Przeciął kindżał atłas wiotki.
Nad uspionym chwilę stałem
I spełniając przyrzeczenie,
Jednym ciosem śmierć zadałem.
Ktoś mnie dostrzegł. Krzyknął: »Zdrada!«
Lecz nim straż dopadła koni,
Jak wiatr mknąłem już po stepie
I uszedłem ich pogoni.

Noc spędziłem w górskiej twierdzy,
Którą ojciec mój zbudował.
Tam o świcie poseł króla
Z listem do mnie przycwałował.
Władca pisał: »Bóg mi świadkiem,
Żem wychował cię jak syna.
Teraz ból ogromny cierpię —
W twojej zbrodni tkwi przyczyna.

Czemuś ród mój okrył hańbą,
Czemuś krwią niewinną splamił?
Jeśli córki naszej chciałeś,
Dalibyśmy ci ją sami.
Czemuś prawdy mi nie wyznał?
Za daleko gniew cię poniósł.
Straszną zbrodnię popełniwszy,
Jak tchórz skryłeś się w ustroniu«.

Odpisałem władcy: »Królu!
Twardszy jestem snadź od stali.
Choć zmartwiłem cię ogromnie,
Ogień wstydu mnie nie pali.
Abyś jednak mnie osądził
Zgodnie z prawdą — jak się godzi,
Wiedz, że tutaj nie o Nestan,
Nie o córkę twoją chodzi.

W naszych Indiach jest niemało
Tronów, twierdz, bogatych grodów.
Tyś jedyny teraz władca
I obrońca praw narodu.
Po umarłych siedmiu królach
Rządzisz sam, boś wszystkich przeżył,
Lecz po tobie godność władcy
Mnie jedynie się należy.



Jam jedyny z krwi królewskiej,
O czym wszyscy wiedzą przecie.
Jam jedynym twym dziedzicem,
A nikt inny na tym świecie.
Jeśli ze mną się nie zgodzisz
I obcemu oddasz władzę,
Przeciw niemu miecz podniosę
I wybrańca twego zgładzę.

Więc nie Nestan... Dobro Indii
Jest jedynym moim celem.
Gdy obcego tu sprowadzisz,
Na kraj spadnie nieszczęść wiele.
Znowu zgładzę cudzoziemca
Jak intruza i przybłądę
I przysięgam ci, monarcho:
Tron i berło ja zdobędę!«



OPOWIEŚĆ ÓSMA

O TYM, JAK PORWANO NESTAN-DAREDŽAN



Poseł z listem już odjechał,
Chmurą kurzu otoczony.
Z blanki baszty spoglądałem
Wspominając dzień miniony.
Pogrążywszy się w zadumie,
Długo w dal wbijałem oczy.
Wtem spostrzegłem, że do twierdzy
Dwóch wędrowców ścieżką kroczy.

Jak zadrżało serce moje,
Nie potrafię opowiedzieć,
Gdy poznałem, że to Asmat
Wierny sługa do mnie wiedzie.
»Jakie wieści?« — zawołałem.
»Biada nam« — odparła płacząc.
Lęk i groza w moim sercu
Pomieszały się z rozpaczą.

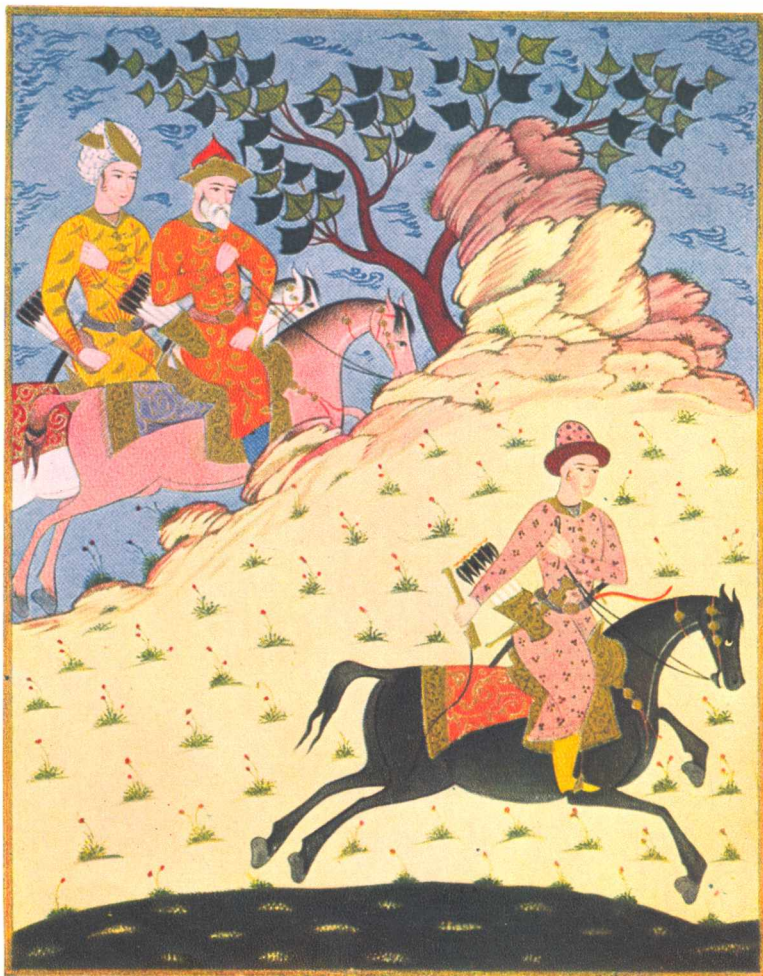
Zbiegłem z baszty na spotkanie.
Wtedy rzekła: »Panie miły,
Wieść straszliwą ci przynoszę,
Lecz jej wyznać nie mam siły.
Wieść okrutna duszę pali,
Więc mnie zabij, bo wiem, że cię
Moje słowa w rozpacz wtrąca:
Lepiej nie żyć mi na świecie...

Po ucieczce twej nad ranem
Wieść o śmierci królewicza
Do monarchy doszła uszu.
Dwór mordercą cię okrzyczał.
Król przejęty twoim czynem
Wiele gorzkich łez uronił,
Splonął gniewem, wysłał pościg —
Lecz któż ciebie by dogonił!

— Teraz wiem już — król zawołał —
Skąd waleczność Tarijela!
Zakochany w mojej córce,
Dla niej krew Chatawów przelał.
Przez nią cierpiał i chorował
Budząc szczerą litość we mnie
I zmyliwszy czujność straży
Chodził do niej potajemnie.

Dawar winna! Klnę się głową,
Że rozprawię się z nią ostro.
Śmiercią musi to zapłacić,
Chociaż jest królewską siostrą.
Rozkazałem jej, by Nestan
Strzegła jakby własnych źrenic,
A tymczasem pod jej okiem
Bywał w baszcie ten odmieniec!

Bardzo rzadko król przysięgał
Na swą głowę — wiemy o tym.
Lecz gdy złożył tę przysięgę,
Ślub wypełniał co do joty.
Dawar wiedząc, że od zemsty
Brata nic jej nie wybawi,
Na królewnę obróciła
Gniew piekielny i nienawiść.



— Żmijo podła, to przez ciebie
Chorezmijczyk młody zginął!
Za twą zbrodnię król poprzysiął
Zgładzić siostrę swą jedyną.
Lecz nie ujdziesz mojej zemsty,
Ja z kochankiem cię rozdzielię.
Nigdy już się nie zobaczysz
Z tym mordercą — Tarijelem!

Oszalala złością Dawar
Pochwyciła bladą Nestan,
Rwała włosy, biła pięścią
I szarpała ją jak bestia.
Już bezbronnej mojej pani
Krew strumieniem ciekła z twarzy,
A ze służby w jej obronie
Stanąć nikt się nie odważył.

Nagle cicho się wśliznęli
Niewolnicy dwaj półnaczy,
Twarze mieli dzikie, straszne,
Skórę zaś koloru sadzy.
Pochwycili biedną Nestan
I zamknęli w palankinie.
Dawar gestem im kazała
Swą ofiarę na dwór wynieść.

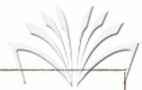
I pobiegli niewolnicy
Pod oknami w stronę morza.
Dawar rzekła wznosząc kindżał:
— Niech się dzieje wola boża!
Nie chcę ginąć z ręki brata,
Wolę śmierć od własnej stali. —
Błysnął kindżał, krew trysnęła
I na ziemię trup się zwałik.

Po tych słowach drżąc Asmat
Tak kończyła swą powieść:
»Żem królownie była wierna,
W każdej chwili mogę dowieść.
Teraz zabij mnie, witeziu,
Spełnij prośbę mą jedyną.
Bo kto takie przyniósł wieści,
Ten natychmiast winien zginąć«.

Pocieszałem ją, jak mogłem:
»Przestań, siostró, lzy wylewać.
Za cóż miałbym cię ukarać,
Za co się na ciebie gniewać?
Dzisiaj jeszcze ruszam w drogę,
Przewędruję ziemię całą
I królownę znaleźć muszę,
Żeby nie wiem co się działo«.

W gronie wiernych swych przyjaciół
Wypłynąłem, bo czas nagił.
Niósł nas wiatr po oceanie,
Dmąc w napięte płótna żagli.
Błądził statek nasz po morzach,
Dziobem pruł wzburzone fale,
Lecz królowny nawet śladu
Nie udało nam się znaleźć.

Minał rok, a w moim sercu
Nic tęsknoty nie zabiło.
Wielu druhów z wyczerpania
W tej wędrowce mi ubyło.
A ja dalej wędrowałem,
Ulegając woli nieba,
Bo nam, nędznym śmiertelnikom,
Z nią się zgodzić zawsze trzeba.



Raz gdy statek do zatoki
Po spokojnej wpłynął fali,
Na brzeg zszedłem z przyjaciółmi
I spostrzegłem gród w oddali.
Nieuchronny los mnie powiódł.
Wprost pod mury tego miasta,
A tuż za mną z dwojgiem służby
Wyruszyła wierna Asmat.

O TYM, JAK TARIJEL
SPOTKAŁ NURADIN-FRIDONA



Kiedy w drodze do grodziska,
Przez polanę przejeżdżałem,
Brzegiem jej, na czarnym koniu,
Jakiś witeź przemknął cwałem.
Krew spływała z twarzy jeźdźca,
Miecz złamany dzierżył w dłoni,
Wciąż oglądał się za siebie
I odgrażał się pogoni.

Pośpieszyłem mu na pomoc.
»Przyjacielu — rzekłem — powiedz,
Kto ci miecz stalowy złamał,
Kto zagraża twojej głowie?«
Wstrzymał konia nieznajomy,
Z trudem zsunął się na ziemię
I zwróciwszy na mnie oczy,
Długo patrzył ze zdumieniem.

Milczał. Wreszcie rzekł: »O Boże!
Świat jest pełen cudów Twoich.
Jeden z nich to ten młodzieniec,
Który tuż koło mnie stoi.
Jemu wyznam prawdę całą,
On w nieszczęściu mi poradzi,
Gdy usłyszy, jak wrogowie
Chcieli mnie podstępnie zgładzić«.



Zachwiał się, więc go złożyłem
Na murawie w cieniu chłodnym,
Gdzie się zajął nim mój sługa,
Mistrz w leczeniu niezawodny.
Z obnażonej piersi woja
Wyjął strzały grot złamanej
I balsamem cudotwórczym
Posmarował jego rany.

Nieznajomy szepnął: »Czas już
Odkryć prawdę w słowach paru.
Nuradin-Fridonem zwań mnie,
Jam jest król Mułhazanzaru.
Widzisz w dali wieże grodu?
W nim mój pałac i siedziba.
Gród niewielki, lecz na świecie
Piękniejszego nie ma chyba.

Dziad mój, król ziem okolicznych,
W latach późnej już starości
Między dwóch dorosłych synów
Porozdzielał swoje włości.
Jam po ojcu odziedziczył
Wyspę z łowów wielkich sławną.
Nie wiedziałem, że stryj chciwiec
Opanował ją już dawno.

Dziś o świecie wyruszyłem
Z sokołami łowów użyć.
Pięciu wziąłem sokolników,
Każdy ptaka zakapturzył.
Przeplłynęliśmy cieśninę
I dosiedli rącznych koni.
Wyspa moja — moje łowy,
Któż polować mi zabroni?

Tak myślałem, lecz krewniacy
Inne o tym mieli zdanie.
Ledwie łowy rozpocząłem,
Wpadli na nas niespodzianie!
Ratowałem się ucieczką.
Gdym się znalazł z koniem w łodzi,
Galer rząd mi drogę przeciał,
A napadem stryj dowodził.

Doścignęły mnie galery
I śmiertelny bój rozgorzał.
Siekłem wrogów bez wytchnienia
I strącałem ich do morza.
Byłbym pewnie wszystkich zgładził
I pograżył w krwawej pianie,
Ale miecz mi pękł na dwoje
I zabrakło strzał w kołczanie.

Już mi w oczy śmierć zajrzała.
Wtedy z łodzi jak szalony
Na rumaku wyskoczyłem
Prosto w morza nurt spieniony.
Los koniowi powierzyłem.
Choć brzeg ledwie widniał w dali,
Biegun mój cieśninę przebył
I od śmierci mnie ocalił.

Choć w nieszczęściu dziś i biedzie
— Taka widać wola Boga —
Nie ustane, póki zemstą
Nie pognębię swego wroga.
Przyjdzie, przyjdzie ten dzień straszny
Pomsty, kary i nauki,
Kiedy ścierwo podłych zdrajców
Będą szarpać głodne krukic.

Umilkł Fridon. Jego krzywda
Połączyła nas jak braci.
Rzekłem: »Nie martw się, witeziu,
Odzyskamy to, coś stracił.
Mieczem bowiem ciebie wesprę
I przyjaźnią mą dozgonną.
Za gwałt wspólnie zgotujemy
Wrogom klęskę nieuchronną«.

»O witeziu — odparł Fridon —
Kto zwycięży, nie wiadomo,
Lecz już teraz przyjmij dzięki
Za to, żeś mi przyrzekł pomoc.
Myśli moje uwolniłeś
Dobrym słowem od kłopotów
I ja też do samej śmierci
Służyć tobie jestem gotów«.

Pojechaliśmy do grodu.
Wojów tłum pod ostrokołem
Na znak klęski zwiesił głowy,
Posypawszy je popiołem.
Ludzie widząc mnie z Fridonem,
Kiedym się przyglądał miastu,
Zawołali: »Oto przybył
Naszych przyszłych zwycięstw zwiastun!«

Wkrótce Fridon wyleczony
Powstał z łoża i w dni cztery
Wojsko świetnie uzbrojone
Załadował na galery.
Na olbrzymich ośmiu łodziach
Wróg podpłynął. Wtedy nogą
Potrąciłem łódź najbliższą,
Zatapiając ją z załogą.

Drugą łódź za dziób chwycilem
I z wysiłkiem niepojętym
Przewróciłem dnem do góry,
Pograżając ją w odmęty.
A tymczasem statki nasze
Już do brzegu przybijały
I zastępy wojowników
Żadnych boju na ląd stały.

W dniu tym Fridon mnie zachwyił
Swą odwagą bezprzykładną.
Jak lew dzielny, w bitwie morskiej
Setki wrogów posłał na dno.
Potem stryja zwałił z konia
I wśród wrogów siejąc grozę,
Rozbroiwszy jego synów,
Kazał spętać ich powrozem.

Wroga zgnetliłmy w tej bitwie
Niby safian w twardej dłoni.
Uginały się pod cennym
Łupem grzbiety juczych koni.
Gdy jechaliśmy w triumfie
Na wojsk czele w blaskach słońca,
Pieśń zwycięstwa biła w niebo,
Krzyk radości brzmiał bez końca.

O TYM, JAK FRIDON
POMAGAŁ TARIJELOWI W POSZUKIWANIACH



Raz w pogodny dzień z Fridonem
Wyruszyliśmy na łowy.
Słońce stało już wysoko,
Gdy na cyplu granitowym
Zatrzymaliśmy rumaki.
Dookoła morska dal
Kołysała się przed nami
Migotliwym blaskiem fal.

Długo milczał dzielny Fridon,
Wreszcie tak przemówił do mnie:
»Rzecz niezwykłą tu przeżyłem
I nie mogę jej zapomnieć.
Polowałem tutaj kiedyś
Sam, nade mną krążył sokół,
Lecz daremnie szukał łupu,
Jak dziś, pusto było wokół.

Kiedym lot sokoła śledził,
Błądząc wzrokiem po przestworzach,
Zobaczyłem, że coś płynie
Ku brzegowi z głębi morza.
Czyżby jakiś ptak nieznany? —
Ze zdumieniem pomyślałem. —
Albo zwierz, co zbywszy trwogi
Dzielnie zмага się ze szkwałem?

Nie, to nie był ptak ni zwierzę.
To łódź zwinną fala niosła,
A dwóch czarnych niewolników
Pochylało się przy wiosłach.
Wieźli z sobą młodą branke
W palankinie uwięzioną,
O urodzie tak promiennej,
Że palankin blaskiem płonął.

Do zatoki łódź przybiła.
A gdy dziewczę z niej wysiadło,
Słońce drgnęło ze zdumienia,
Mgłą zasnuło się i zbladło.
Świat jej blaskiem rozjaśniony
Pragnął złożyć hold dziewicy,
Lecz jak straż upiorna przy niej
Stali czarni niewolnicy.

Litość serce me przejęła,
Jakże róży tej nie pomóc?
Wspiałem konia i Merani
Pomknął na dół lotem gromu.
Wpadam na brzeg — łodzi nie ma,
Znikła już w rozbryzgach piany.
Tylko w ślad za córą słońca
Legł na falach blask świetlany».

Skończył Fridon swą opowieść
Serce mocniej mi zabiło.
»O Fridonie! — zawolałem. —
Ty widziałeś moją miłą!«
Tu ból w kleszcze mnie pochwycił,
Przeszył piersi jak grot tępy,
Padłem z jękiem na kamienie,
Rwąc na sobie odzież w strzępy.

Patrząc na szaleństwo moje,
Fridon szepnął, tłumiąc łkanie:
»Tarijelu, niepotrzebnie
Przypomniałem to spotkanie...
Lecz pamiętaj, że nasz Stwórca,
Co śmiertelnym zsyła troski,
W końcu szczęście ludziom daje,
Więc na wyrok czekaj boski.

Bóg, co stworzył bohatera
Wysmukłego niby jawor,
Próbie ognia i żelaza
Poddać go ma zawsze prawo.
On nam ześle swoją miłość,
Co na ziemię gromem spadnie.
Wtedy serce trosk nie zazna,
Wieczna radość nim zawładnie».

W drodze, kiedyśmy mijali
Port, rzekł Fridon tymi słowy:
»Dzień i noc tu statki płyną.
Biegnie tędy szlak handlowy.
Wiadomości nam przywożą
Najdziwniejsze z całej ziemi,
Może także o twej Nestan
Coś przypadkiem się dowiemy.

Wyślę gońców i zwiadowców,
Tropicieli i żeglarzy,
Niech popłyną tam, gdzie dotąd
Nikt popłynąć się nie ważył.
Niech objadą zapomniane
Wyspy, lądy i bezdroża
I porwaną Nestan znajdą,
Choćby skrył ją władca morza».

Wyprawiwszy gońców w drogę
Fridon ujął moje dłonie
I zawołał: »Tarijelu!
Zasiądź obok mnie na tronie.
Tyś jest Indii prawym królem,
Najmożniejszym władcą świata.
Nie gardź moim skromnym darem,
Przyjmij tron ten jak od brata«.

Wiele darów otrzymałem
I rad cennych od Fridona,
Lecz rozpaczy w moim sercu
Nie zdołało nic pokonać.
Szybko biegły dni za dniami,
Powrócili gońcy z dala.
Nawet śladu mojej miłej
Nigdzie żaden z nich nie znalazł.

Wyczerpała się cierpliwość,
Znów niepokój mnie ogarnął.
»O Fridonie! — zawołałem
Pogrążony w rozpacz czarną. —
Chociaż wiem już, że się z tobą
Niezbym łatwo będzie rozstać,
Błagam, pozwól mi odjechać,
Nie mam sił tu dłużej zostać«.

Młody król zapłakał gorzko,
A drużyna jego cała
Na kolanach gromkim głosem
Jedną prośbę powtarzała:
»Nie opuszczaj nas, monarcho!
W tobie mamy przyjaciela,
Za którego krew serdeczną
Każdy z nas jest gotów przelać!«

»Drodzy moi — powiedziałem —
Oto nadszedł czas rozłąki.
Jeśli milej nie odnajdę,
Umrę tu wśród strasznych mąk i
Nikt jej wtedy nie ocali,
Nikt nie wyrwie jej z niewoli...
Czyż ja mogę ją opuścić
I na straszny gwałt pozwolić?«

Pożegnałem lud i wojsko.
Fridon znowu się rozplakał.
W czas rozstania na pamiątkę
Podarował mi rumaka.
Rumak ten do dziś mi służy.
Dawnom śnił o takim koniu.
Ledwie w siodle się znalazłem,
On jak wicher w dal mnie poniósł.

Znów błąkałem się po świecie.
Dokądkolwiek koń mój ruszył,
Smutek włókł się moim śladem
I zwątpienie budził w duszy,
Bo od dnia porwania Nestan
Już niejeden minął rok.
Słońce dla mnie blask straciło,
Ziemię skrywał gęsty mrok.

Wtędym właśnie postanowił
Nadaremnie się nie trudzić
I zamieszkać na pustkowiu
Dzikim, z dala gdzieś od ludzi.
»Może prędzej — pomyślałem —
Gdy ze światem się rozłączę,
Wśród drapieżnych leśnych zwierząt
Swój nieszczęsny żywot skończę«.

»Teraz rozstać się musimy —
Rzekłem wiernym swoim sługom —
Dość nieszczęsnej tej tułaczki
I tak trwała nazbyt długo.
A za trud i wierną służbę
Wolność daję wam w nagrodę.
Na to służdy mi odparli:
»Nie możemy, panie, odejść.

Choć niełatwy los nam wypadł
I w podróżach czas się dłuży,
Nikt z nas ciebie nie opuści,
By innemu panu służyć.
My pragniemy tylko co dzień,
Patrząc w jasne twoje oczy,
Iść za tobą po kres życia,
Dokądkolwiek będziesz kroczył.

Więc chcąc nie chcąc pozwoliłem,
Aby z dala od osiedli,
Wśród kóz dzikich i jeleni
Razem ze mną żywot wiedli.
Pojechałem w gęste bory
Drogą grząską i podmokłą,
A tuż za mną razem z Asmat
Dwoje sług się z trudem wlokło.

Wreszcie tu, nad brzegiem rzeki
Natrafilem na pieczarę.
Strzygi w skałach ją wykuły.
Koń mój wolno kroczył jarem,
Kiedy nagle jak spod ziemi
Zjaw przeklętych wyrósł rój.
»Służba, do mnie! — zawołałem. —
Czeka nas niełatwy bój!«

W tej nierównej walce zginął
Jeden sługa, potem drugi.
Strzygi obu powaliły
I zerwały z nich kolczugi.
Wtedy we mnie gniew rozgorzał
I wyzwolił taką siłę,
Że jak lew na podłe zjawy
Z mieczem w rękę się rzuciłem.

Cały las się zakolysał
Od zawodzeń ich i płaczu
I dudniła głucho ziemia
Pod ciosami ciężkich maczug.
Słońce ledwie ómiło w kurzu,
Runął cyprys drżąc na wietrze...
Sto strzyg padło i zastygło
Pod hartownym moim mieczem.

Od tej pory, drogi bracie,
Zamieszkałem w tej pieczarze.
Stąd wyruszam na bezdroża
I o śmierci tutaj marzę.
Tylko Asmat mi została,
Dzieli ze mną los tułaczy
I z dniem każdym coraz bardziej
Więdnie z bólu i rozpaczy.

Nestan-Daredżan urodą
Równa była tygrysy,
Więc tygrysią skórę wdziałem
Na znak żalu po dziewicy.
Żyjąc tu wśród dzikich zwierząt
Sam się stałem lutym zwierzem.
Śmierci czekam — tylko ona
Ból i rozpacz mą zabierze“.

Skończył Tarijel opowieść
I pogrążył się w zadumie.
Wtedy z oczu Awtandila
Trysnął łez gorących strumień.
Asmat widząc, że twarz wodza
Gorączkowym ogniem pała,
Wody zimnej pełny kubek
Drżącą ręką mu podała.

Wypił woj i szepnął: „Bracie,
Często tak się w życiu zdarza,
Że gdy lekarz zachoruje,
Szuka rady u lekarza.
Opowiada mu dokładnie,
Co go męczy i co boli,
By przyjaciel jak najprędzej
Przyniósł pomoc mu w niedoli.

Czas już wracać mi do domu
Do królowny mojej miłej
Z wieścią, że cię odnalazłem
I ślub wiernie wypełniłem.
Lecz przysięgam ci na honor,
Na mój miecz, na słońce złote,
Że cię w biedzie nie opuszczę
I przyjadę tu z powrotem.

Więc cierpliwie tu mnie czekaj.
Wyruszymy stąd dopiero,
Gdy powrócę od królowny.
Nie rozpaczaj więc, łez nie roń!
Odnajdziemy twoją Nestan,
Choćby przyszło świat opłynąć,
Stawić czoło ciemnym mocom,
A gdy trzeba będzie — zginać!“



Wstał Tarijel po tych słowach
I uścisnął Awtandiła.
„Bracie — rzekł — dozogonna przyjaźń
Nas ze sobą połączyła.
Wiesz, jak trudno jest się rozstać
Słowikowi z róży pąkiem,
Ale mnie po stokroć trudniej
Przeżyć z tobą dziś rozłąkę“.

Przeszła noc, a gdy jutrzienka
Mroczne niebo rozjaśniła,
Tarijel i wierna Asmat
Pożegnali Awtandiła.
Długo stali zapatrzeni,
Kiedy jeździec w zorzy blasku
Na pustynnej drodze zniknął,
Zostawiając ślad na piasku.

OPOWIEŚĆ JEDENASTA

O TYM, JAK AWTANDIL
POWRÓCIŁ DO ARABII



Wyznaczone przez królownę
Nie minęły jeszcze lata,
Gdy Awtandil utrudzony
Z dalekiego wrócił świata.
W murach grodu go powitał,
W otoczeniu wojsk gromady,
Promieniając wielkim szczęściem,
Wierny piastun — cny Szermadin.

Słyszac słowa Awtandila
O witeziu znalezionym,
Na dwór króla Rostewana
Pomknął z wieścią jak szalony.
„Królu, wrócił już Awtandil!
Już nie będziesz cierpiał dłużej,
Bo odnalazł on witezia,
Co w tygrysiej chodzi skórze“.

Potem z komnat Rostewana
Poszedł wprost do Tinatiny
I zawołał: „Wódz Awtandil
Dobre przywiózł ci nowiny!“
Tinatina mu odparła:
„Niech się święci wieść wesola,
Dajęć za nią tyle złota,
Ile tylko unieść zdołasz“.

Awtandiła król szczęśliwy
Przed pałacem swoim spotkał
I objąwszy go ramieniem,
Uroczyście wwiódł do środka.
Lew z lwów wszystkich najsilniejszy
Przed słońce słońcem złożył ukłon,
Zapatrzony w pełną blasku,
Promienistą postać smukłą.

Podczas uczty strumień wina
W szczerozłote lał się czarki.
Wśród radości i wesela
Gościom rozdał król podarki.
A gdy zmierzch na dworze zapadł
I noc gwiazdy zapaliła,
Rzekł Rostewan: „Chcę usłyszeć
O przygodach Awtandiła“.

Opowiedział mu Awtandił,
Jak odnalazł Tarijela,
Co po stracie cudnej Nestan
Łez i krwi немало przelał.
Jak ten witeź ze strzygami
Wiódł zwycięsko bój okrutny,
Jak w tygrysią skórę odzian
Po bezdrożach błędził smutny.

Król z podziwem wielkim słuchał
Opowieści aż do końca
I opuścił biesiadników
Tuż przed samym wschodem słońca.
Gdy Awtandił szedł już spocząć,
Opisawszy swoje czyny,
Sługa wezwał go tajemnie
Przed oblicze Tinatiny.

Jak aloes, co w ogrodach
Nad Eufratem wszystkie drzewa
Wdziękiem smukłej swej postaci
I przewyższa, i przyćmiewa,
Tak jaśniała Tinatina,
Gdy wódz podszedł ku tronowi.
Chyba mędrców chór ateńskich
Mógłby krasę jej wysławić.

„Drogi mój witeziu — rzekła —
Twa opowieść mnie wzruszyła.
Cóż Tarijel teraz pocznie
Bez pomocy Awtandila?
Kto osłoni go w potrzebie
Od uderzeń wrażeń mieczy,
Kto lekarstwo takie znajdzie,
By z tęsknoty go wyleczyć?“

Upadł witeż na kolana
I zawołał: „O królowno!
Obiecałem, gdym go żegnał,
Że powrócę doń na pewno.
Przyjaciółom zawsze pomoc
Nieść powinna dłoń przyjazna.
Druh mój cierpi — a więc szczęścia
Ja nie mogę również zaznać“.

I odrzekła Tinatina:
„Awtandile, mój kochanku,
Tak się stało, jak pragnęłam,
Powróciłeś mi bez szwanku.
Nie straciłeś mej miłości
W czas rozstania i wiedz o tym,
Żeś przyjazdem swym wybawił
Mnie od cierpień i zgryzoty.“

Lecz spotkałeś Tarijela...
Swej przysięgi wierny słowom,
Zaginionej w świecie Nestan
Zaczniesz szukać z nim na nowo.
A mnie znowu czeka smutek
I samotność, i rozłąka,
Znów bez ciebie, bez księżycy,
Będę się w ciemności błąkać“.

„Biada! — witeź rzekł. — Oddechem
Nie potrafisz stopić lodu.
Druh mój czeka. Muszę jechać,
By nie sprawić mu zawodu.
Będę znowu ogniem płonąć
Wspominając Tinatinę...
Daj mi jakiś znak miłości,
Bo bez niego chyba zginę!“

Perłę dała mu królowna.
Witeź skarb zacisnął w dłoni
I żegnając ukochaną,
Ze czcią nisko się pokłonił.
Nie zaznali wiele szczęścia
Kochankowie i tym razem.
Los okrutny ich rozdzielił —
Raząc serca jak żelazem.

Uszedł witeź do komnaty.
Skrywszy się przed dworzan wzrokiem,
W mrocznych myślach pogrążony,
Oczy zalał łez potokiem.
Takie jest już ludzkie serce:
Z darów losu nie korzysta,
Pędzi w świat nienasycone,
Porzucając cichą przystań.



OPOWIEŚĆ DWUNASTA

O TYM, JAK KRÓL ROZGNIEWAŁ SIĘ
NA SWEGO ULUBIONEGO WEZYRA SOGRATA



Wczesnym rankiem wódz Awtandił
Pomknął prosto do Sograta.
Wezyr wybiegł na spotkanie
I powitał go jak brata.
Pomógł z konia zsiąść gościowi,
Dywan rzucił mu pod nogi
I zawołał: „Woń różana
Spływa z tobą w moje progi!“

Rzekł Awtandił: „Ciebie, druhu,
Król podporą tronu mieni,
Sławi męstwo twe i rozum
I wysoko rady ceni.
Zyskaj dla mnie pozwolenie
Na rozstania lata długie,
A zdobędziesz wdzięczność nieba
Za oddaną mi przysługę.

Gdy przed władcą Rostewanem
Jak codziennie rankiem staniesz,
Powiedz: »Czas już, by Awtandił
Spełnił swoje ślubowanie.
Nieszczęsnemu witeziowi
On dopomóc winien w biedzie,
Bo przysięgą jest związany,
Puść go, władco! Niechaj jedzie!«

Błagaj go, jak tylko umiesz,
Niech się twoją mową wzruszy,
Niech zrozumie, że przysięgi
Wódz Awtandił nie naruszy.
A jeżeli na twą prośbę
Król wyrazi swoją zgodę,
Prócz wdzięczności mej, tomanów
Sto tysięcy dam w nagrodę“.

Sokrat odparł mu z uśmiechem:
„Ta nagroda mnie nie nęci.
Ja dla ciebie wszystkie dobra
Bez namysłu bym poświęcił.
Lecz gdy zacznę prosić króla,
Władca gniewny i surowy
Może strasznie mnie ukarać
Albo wręcz pozbawić głowy.

Prosić króla, by pozwolił
Na twój odjazd, chybia celu.
Ale ja bym też ci radził:
Zostań z nami, przyjacielu!
Jesteś wodzem, a wrogowie
Dawno chcą się zmierzyć z nami
Jak te wróble, co by chciały
W locie zrównać się z orłami“.

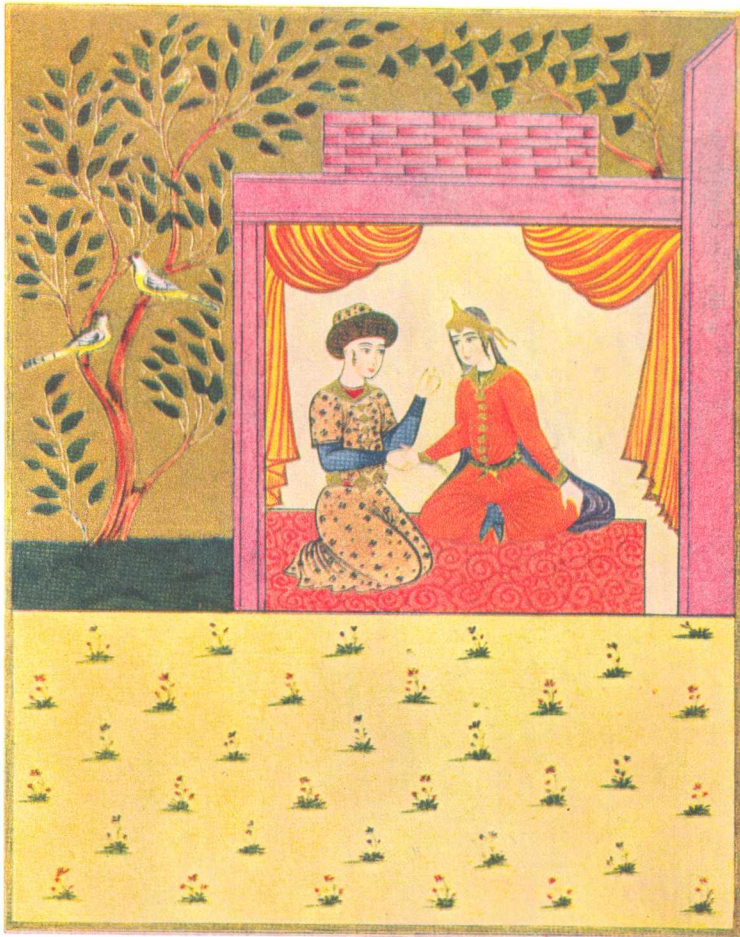
Tu Awtandił do Sograta
Zwrócił łzami twarz zalaną:
„Jakiż jest pożytek z wodza,
Co ma duszę obłąkaną?
Nie chcę być naczelnym wodzem,
Bobym musiał ślub swój złamać.
Wolę stracić miłość króla
Niżli duszę swą okłamać.

Jeśli władca mnie nie puści,
To wyjadę potajemnie.
Dobry Bóg zwycięstwo ześle
Naszym wojskom i beze mnie.
Błagam, pomóż mi, wezyrze!
Tyś jedyny mój obrońca.
Król twym prośbom się nie oprze
I wysłucha cię do końca“.

„Teraz widzę — odparł wezyr —
Że zamiarów twych nie zmienię.
Już nie mogę dłużej patrzeć
Na lzy twoje i cierpienie,
Bo mnie także gnębi boleść
Twojej boleści równa prawie.
Choćbym zginać miał, za tobą
U monarchy dziś się wstawię“.

Wkrótce potem stanął wezyr
Przed obliczem Rostewana.
Powtórzywszy prośbę wodza,
Upadł przed nim na kolana
I zawołał: „Gdybyś ujrzał,
Jak Awtandił cierpi srodze,
Ulitowałbyś się, panie,
Nad naczelnym swoim wodzem!“

Król się zachnął. Na Sograta
Zwrócił z gniewu twarz zamarłą.
„Głupcze, jakże takie słowa
Mogły przejść przez twoje gardło?
Wódz mój z wojskiem na wyprawę
Zbrojną musi ruszyć szparko.
Kto spróbuje w tym przeszkodzić,
Temu głowa spadnie z karku.



Wiedz, złoczyńco, gdybyś nie był
Wysłannikiem Awtandila,
Jeszcze dzisiaj twoje zwłoki
Pochłonęłaby mogiła.
Precz mi z oczu, psie niegodny!
Byś na haku nie zawisnął!
Precz umykaj, pókiś cały!“
I w wezryra krzesłem cisnął.

Jak trafiony lis się wije
I do ziemi brzuch przytula,
Tak umykał chyłkiem Sograt
Przerażony gniewem króla.
Gdy Awtandil go zobaczył,
Pełen smutku wstrząsnął głową.
„A więc wbrew mojemu władcy
Muszę spełnić dane słowo!

Kiedy słońce w czas posuchy
Kwiatom resztkę sił zabiera,
Słowik w róży zakochany
Z żalu razem z nią umiera,
Zamiast przynieść biednej w dziobku
Choćby rosy kropel parę
I osłonić skrzydełkami
Przed palącym słońca żarem.

Dla witezia Tarijela
Ja słowikiem tym nie będę,
A bez niego to rzecz pewna,
Życie grozi mi obłędem.
Więc pomylił się król srodze.
Zły by ze mnie był dowódca...
Lepiej wodza nie mieć wcale
Niż na czele wojsk mieć głupca“.

Cnoty wodza Awtandila
Pragnę czcic wznioslymi slowy
Za to, ze dla przyjaciela
Wszystko stracic byl gotowy.
Bo związany nierozdzielnie
Jest przyjaciel z przyjacielem
W zycia doli i w niedoli,
Rzeklybys, dwójduch w jednym cielem.

OPOWIEŚĆ TRZYNASTA

O DRUGIM TAJEMNYM WYJEŹDZIE AWTANDILA



Z Szymadynem, swym piastunem,
 Przyszedł żegnać się Awtandil:
 „Ty nie będziesz mnie namawiał,
 Bym pozostał, bym się zhańbił.
 Król nie pojął, że mój odjazd
 To jedyne dla mnie wyjście,
 Że ja muszę to wypełnić,
 Com poprzysiągł uroczyście.

Przyjmij jeszcze tych rad kilka,
 Jeśli wodza chcesz być wzorem:
 Każdy rozkaz Rostewana
 Spełniaj wiernie, ściśle, w porę.
 Wojska ćwicz w wojennej sztuce,
 Bacz na mój dobytek cały,
 A gdy wrócę z mej wyprawy,
 Dar przywiozę ci wspaniałą“.

Wtedy przerwał mu Szymadyn:
 „Nie pogardzaj mą osobą.
 Nie zostawiaj mnie, witeziu,
 Na wędrowną weź ze sobą“.
 „Nie — rzekł witeź — nie pogardzam,
 Lecz wyróżniam ciebie właśnie,
 Bo twe męstwo wrogów straszy,
 A odwaga godzi właśnie.

Więc jak widzisz, na wyprawę
Zabrać cię nie jestem w stanie.
Chciałbym jednak, byś przysługę
Oddał mi na pożegnanie.
Dziś przygotuj się do drogi,
Abyś jutro wcześniej z rana,
Skoro świt, popędził z listem
Do monarchy Rostewana“.

Usiadł witeź i do władcy
W kornych słowach list ułożył:
„Królu! Znowu na tułaczkę
Mnie wysyła wyrok boży.
Tarijela nieszczęsnego
W żaden sposób zwieść nie mogę.
Miłość mi ojcowską przywróć,
Bo w daleką ruszam drogę.

Zważ, że tylko cześć i honor
Na bezdroża mnie zawiodły,
Że opuścić druha w biedzie
Może tylko człowiek podły.
Jeszcze to, co uczy Platon,
Teraz ci przypomnieć muszę:
Kłamstwo równie niszczy ciało,
Jak zatrzuwa ludzką duszę.

Kłamstwo — źródłem strasznych nieszczęść.
W nim wszelkiego zła przyczyna.
Wódz najgorszy chyba taki,
Co przysięgi zapomina.
Jak testament, winni ludzie
Spełniać wszelkie mędrcza słowa.
Wiedzę bowiem dał im na to,
Aby dusze ich ratować.

Kto przed bitwą drży ze strachu,
Nie spogląda okiem hardym,
Lecz ukrywa się tchórzliwie,
Ten najwyższej wart pogardy.
Wobec śmierci wszyscy równi.
Nikt nie zdoła przed nią skryć się,
Lepszy zgon na polu chwały
Anizeli podle życie.

Kiedy śmierć w dalekich stronach
Przerwie życie me tułacze,
Nikt nie zawrze moich powiek,
Nikt nade mną nie zapłacze.
Nie otuli nikt całunem,
Nie przysypie ziemi garstką,
Lecz szczęśliwy byłbym wtedy,
Gdybyś wspomniał mnie, monarcho.

Wszystkie skarby, którem zdobył,
Pomógł mi zgromadzić naród,
Więc je rozdaj! Niewolnikom,
W dniu mej śmierci, wolność daruj!
A najwięcej z mych dostatków
Oddaj wdowom i sierotom.
Niechaj dolę ich ponurą
Blaskiem swym rozjaśni złoto.

Jeszcze jedną mnie, monarcho,
Jeśli możesz, obdarz łaską:
Pozostaje tu Szermadin,
Sługa wierny mój i piastun.
Spraw, by ze mną rozłączony
Nie zagubił w smutku duszy.
Twoja dobroć niech go wesprze,
A gdy trzeba, lzy osuszy“.

Skończył pisać. Szermadina
Objął szepejąc: „Zostań z Bogiem“.
Wsiadł na konia i lzy otarł,
I niezwłocznie ruszył w drogę.
O wyjeździe Awtandiła
Piastun przywiózł pierwsze wieści.
Król Rostewan list przeczytał
I pogrążył się w boleści.

„Nawet się nie pożegnałeś,
Mój najdroższy synu, ze mną.
Z twym odjazdem słońce zgasło
I zaległa wokół ciemność.
Nie uścisknę już twojej dłoni
Ani ujrzę ócz promyków,
Ni na łowach nie usłyszę
Nigdy dziarskich twych okrzyków.

Wiem, że głód ci nie dokuczy.
Gdzie obrócisz kroki dzielne,
Tam cię wierny łuk pożywi
I niechybne oko celne.
Jednak gdyby los okrutny
Zgon ci przyniósł na obczyźnie,
Wtedy biada sercu memu,
Biada, biada mej siwiźnie“.

I lzy gorzkie król wylewał,
Skołataną ścisnął głowę
I zabronił swoim wojskom
Nosić szaty kolorowe.
Lud pogrążył się w żalobie
I błagalne wznosił modły,
Aby nieba do ojczyzny
Awtandiła znów przywiodły.

O TYM, JAK AWTANDIL
ODNALAZŁ WITEZIA PO RAZ DRUGI



Jak rozłąka z blaskiem słońca
Staje się dla kwiatów zgubą,
Tak omdlało serce wodza,
Gdy pożegnał swoją lubą.
Wierny koń go niesie chyżo
Przez pustynny szlak tułaczy,
A jej obraz ukochany
Przed oczyma mu majaczy.

Słysząc jęki i westchnienia
Placzącego Awtandila:
„Tyś me serce żrenicami
Jak strzałami poraziła.
Twoje usta to sprawiły
I wspaniała kosa krucza,
Że mi serce z bólu pęka
I łez z oczu tryska ruczaj.

Słońce! Jak nas uczą mędracy —
Tyś obrazem Boga! Słońce!
Tyś jest władcą nad gwiazdami,
Wszechpotężnym niebios gońcem.
Nad nędzarem się ulituj!
Niepojętą swoją siłą
Spraw, bym ujrział blasków pełną
Tinatinę moją miłą“.

A gdy wieczór już zapadał,
Witeź łzami rosił lica
I bezdrożem jadąc dzikim
Tak przemawiał do księżycyca:
„O księżycu! Ty tęsknoty
Zakochanych leczysz rzewne.
Zlituj się nade mną biednym,
Pozwól ujrzeć mi królewne“.

Noc mu niosła ukojenie,
W dzień, od trudów konający,
Zjeżdżał smutny na brzeg rzeki,
Zapatrzony w nurt jej rwący.
Z oczu jego w bystre wody
Łez bolesnych strumień spływał...
Żaden jeszcze zakochany
Miłej tak nie oplakiwał.

Aż nareszcie dotarł witeź,
Przez pustynie i gór pasma,
Do pieczary Tarijela,
Gdzie siedziała smutna Asmat.
Gdy wybiegła na spotkanie,
Wódz Awtandil z konia zsiadł
I zawołał: „Witaj, siostrze!
Gdzie Tarijel, gdzie mój brat?“

Wtedy ona, łamiąc ręce,
Zawołała z wielkim żalem:
„Od dnia tego, gdyś odjechał,
Nie widziałam go już wcale.
Wkrótce bowiem mnie pożegnał,
Dosiadł konia, ręką skinął
I pod czarnym skrzydłem nocy
Niby kamień w wodzie zginął“.

Jak obuchem uderzony,
Witeź oparł się o skałę.
„Przecież ja mu w dzień rozstania
Rychło wrócić obiecałem.
Czemuż więc nie czekał na mnie
I odjazdem układ złamał?
Czyżby myślał, że Awtandil
Na odczepne go okłamał?”

„Awtandile! — rzekło dziewczę. —
Sądzisz o nim zbyt pochopnie.
Temu, co z rozpaczy ginie,
Trudno działać jest roztropnie.
Bo gdy serce kona w męce,
Rozum — na nic niepamiętny —
Kona razem z sercem, chmurny
I na wszystko obojętny.

Nie wyrażę ci słowami,
Jak okropne to cierpienie.
Na pustyni mu współczują
Zimne skały i kamienie.
Z łez przez niego wylewanych
Rzeka mogłaby wytrysnąć,
A skargami on potrafił
Z dzikich bestii łzy wycisnąć.

Gdym żegnała Tarijela,
Powiedziałam: »Miej na względzie,
Że ja nie wiem, co mam robić,
Gdy Awtandil tu przybędzie«.
Milczał chwilę i nareszcie
Odpowiedział: »To mu przekaż,
Że się błąkam po pustyni,
Biedny witeź, cień człowieka.

Ze go jednak oczekuję,
Więc się z miejsc tych nie oddalę.
Przyjaźń niech mu wskaże drogę
I pomoże mnie odnaleźć.
Jeśli mnie zaś śmierć łaskawa
Na sen wieczny ukolebie,
To popioły me Awtandił
Z czcią należną niech pogrzebie!“.

Więc Awtandił na pustynię
Zwrócił konia kroki rącze.
Wspinał się na górskie szczyty,
Wodospady mijał grzmiące,
Wołał, krzyczał i zaklinał,
Krążąc jak zgłodniały lew,
Lecz niestety tułacz biedny
Nie odkrzyknął mu na zew.

Aż po dwóch dniach i dwóch nocach,
Gdy zwątpiały stał na górze,
Widok dolin rozłożystych
Oczy jego pięknem urzekł.
Stamtąd nagle spostrzegł witeź,
Że koń stoi osiodłany.
„To on! — krzyknął jak szalony. —
Tarijela koń! Merani!“

Gdy podjechał, ujrzał obraz,
— Trudno było weń uwierzyć —
Obraz, który ścisnął serce
I na głowie włosy zjeżył.
Na murawie, gdzie się jeszcze
Ślady walki nie zatarły,
Na wznak leżał druh Tarijel,
Z twarzą bladą jak umarły.

Z prawej strony Tarijela
Leżał mieczem lew rażony,
Z lewej tygrys pęgowany
Tonął cały w krwi czerwonej.
Powtarzając drogie imię
Przyjaciela wciąż od nowa,
Zsiadł wódz z konia, ukląkł przy nim
I skroń jego ucałował.

Drgnął przyjaciel, rozwarł oczy
I świadomość wnet odzyskał.
„Awtandile — szepnął z trudem —
Chwila mojej śmierci bliska.
Bóg pozwolił mi przed zgonem
Ujrzeć postać twoją jasną.
Niech Mu dzięki będą za to,
Mogę już na wieki zasnąć“.

„O nieszczęsny — rzekł Awtrandil
Tarijela obejmując —
Skąd się takie smutne myśli
Po twej biednej głowie snują?
Diabeł chyba je podszeptał,
Nie daj mu się zwodzić dłużej.
Kto przed czasem przerwie życie,
Ten sprzeciwia się naturze.“

Jeśliś mądry, to zapragniesz
Być jak wprzódy dzielnym mężem
I miłości swej ogromnej
Bronić słowem i orężem.
Lecz gdy słabość cię do świata
Skazi jadem nienawiści,
Nie potrafisz znaleźć milej
Ani pragnień swoich ziścić.

Więc posłuchaj mojej rady:
Konie nasze rwą się w drogę,
Siły zbierz i powstań, bracie,
Ja we wszystkim ci pomogę!
Czyż możliwe, by wódz dzielny,
Jak ty, sławy swej poniechał?
Pójdź! Czas leczy wszystkie rany,
W nim ostoja i pociecha“.

Na to Tarijel: „Witeziu,
Wzrusza mnie twa przyjaźń szczerą,
Lecz nie mogę już sił zebrać,
Wzrok mój mąci się — umieram.
Wierzę jednak, że w niebiosach
Czeka mnie nagroda słodka.
Rozłączony z nią na ziemi,
Ukochaną w niebie spotkam.

Ona rada mnie powita,
Miłość wspólna nas zjednoczy,
A ja będę szczęściem płonął,
Zapatrzony w drogie oczy.
Tam się skończy moja męka.
Ból powalił mnie potężny.
Nie do czynów, lecz do nieba
Tęskniąc, zdążam niedołężny“.

Słyszając to, zrozumiał witeź,
Że inaczej działać trzeba.
Szepnął: „Trudno się sprzeciwiać,
Kiedy tęsknisz tak do nieba.
Więc nie będę cię już dręczył
Ani ostrym słowem drażnił,
Tylko proszę, spełnij jedną
Prośbę mą, na znak przyjaźni.

Pomyśl, ta, co moje serce
Źrenic swych przebiła strzałą,
Z której oczu promienistych
Skry się sypią jak z kryształu,
Ona ciebie pokochała
Za twą wierność, za twe męstwo
I mnie w drogę wyprawiła
Dając swe błogosławieństwo.

Ciężką więc przebyłem podróż
Pragnąc w smutku cię pocieszyć,
Lecz ty gardzisz przyjacielem
I śmierć własną chcesz przyśpieszyć.
Błagam ciebie, druhu, bracie!
Za jej dobroć okaż wdzięczność,
Przełam upór niedorzeczny,
Wskrześ swą siłę i swą zręczność“.

Po tych słowach wódz Awtandił
Meraniego przyprowadził
I dźwignąwszy Tarijela,
Z trudem w siodle go posadził.
Ranny witeź westchnął tylko,
Potem wargi ścisnął sine
I spuściwszy nisko głowę,
Milcząc ruszył przez dolinę.

Jechał. Z wolna w nim przygasał
Źrący duszę żar niedoli,
Ożywiała się twarz blada
I rozpalał wzrok sokoli.
Gdy pod sobą poczuł konia,
Wnet zgryzota ustąpiła
I rumieniec okrył lica,
Błysła w oku dawna siła.

Zmiany te Awtandił śledził
Pelen troski i wzruszenia.
Wreszcie rzekł: „Pamiętki Nestan,
Tarijelu, nie doceniasz!
Nie pamiętasz o niej! Czemuż
Bólu twego nie osłodzi?
Czyżby ciebie dar królowny
Już zupełnie nie obchodził?”

„Ten podarek — odrzekł witeź —
To jedyny skarb na świecie.
Duszy mojej treść istotna
Kryje się w tej bransolecie.
Ona droższa mi niż oczy,
Niż wschodząca ranna zorza.
Niż ta ziemia i jej skarby:
Góry, rzeki, lasy, morza!”

„Dziwne — na to rzekł Awtandił. —
Nie wiem, skąd ci się to wzięło.
Cenisz marny, zimny klejnot,
Rzemieślniczej sztuki dzieło,
A sam w serce porażony
Przez miłości strzały ostre,
Rzucasz bez zastanowienia
Dobłą Asmat, swoją siostrę.

Asmat, która dobrowolnie
Snuje z tobą życia przędzę,
Która troszczy się o ciebie,
Dzieli z tobą głód i nędzę!
Pomnisz chyba, jak służyła
Szczęściu twemu i królowny?
Czyżby po to, by samotnie
W grocie żywot wieść niepewny?”

Na to witeż: „Przypomniałeś
Siostrę, co w nieszczęściu żywie,
Przypomniałeś, com jej winien,
I wyrzekłeś sprawiedliwie!
Na twe słowa serce moje
Żywszym rytmem mi zabiło.
Jedźmy do niej, a po drodze
Powiem, co mi się zdarzyło.

OPOWIEŚĆ PIĘTNASTA

O TYM, JAK TARIJEL ZABIŁ
LWA I TYGRYSA



Raz, gdym z dala od pieczary
Jechał dziką okolicą,
Zobaczyłem, jak w zaroślach
Lew przemyka z tygrysią.
Podążywszy w ślad za nimi,
Gnany dziwnym niepokojem,
Na polanie ich ujrzałem,
Jak igrają obydwaje.

Zrazu były to przyjazne
Harce, skoki i gonitwy.
Nagle ryk się straszny rozległ
Jak grzmot surm na polu bitwy.
To lew w ciało tygryscy
Wbił pazury zakrzywione —
Na niedawne miejsce zabaw
Trysnął strumień krwi czerwonej.

Gniew płomieniem mnie ogarnął
I zebrawszy całą siłę,
Grotem kopii niezawodnej
Lwa podłego ugodziłem.
Widząc, jak się ranny czołga,
Jak się z rykiem w gąszcze wlecze,
Zsiadłem z konia i niezwłocznie
Bestii śmierć zadałem mieczem.

Miecz rzuciwszy, tygrysię
Pochwyciłem w swe ramiona,
Tak jak chwyta się kochaną
Pieszczotliwie, ale ona
Rycząc groźnie, piersi moje
Pazurami rozorała.
Niewdzięcznością rozżalony,
I jej także śmierć zadałem.

Widzisz, bracie — szepnął witeź —
Jaki los mi Bóg zgotował.
Prześladuje mnie i gnębi
Dola ciężka i surowa.
Więc się nie dziw, że żyć nie chcę,
Że jedynie śmierci czekam,
Bo w niej widzę ukojenie
Dla takiego, jak ja, człeka“.

Długo mknęli po bezdrożach
Wzdłuż strumienia krętym jarem,
Aż przyniosły ich rumaki
O północy przed pieczarę.
Tu witezie zsiadli z koni
I w pochodni złotych blaskach
Powitali czekającą
Na nich w progę, wierną Asmat.

Weszli za nią do pieczary,
Na tygrysiach skórach siedli,
Potem głodni, utrudzeni
Dwa jelenie udźce zjedli.
Wkrótce sen im oczy zmorzył,
Dotykając ciężkich powiek.
Tylko Asmat nie usnęła,
Strzegąc snu ich nad wezłowiem.

Skoro tylko ranna zorza
Blaskiem niebo rozjaśniła,
W smutku tonąc rzekł Tarijel
Do witezia Awtandila:
„Ocaliłeś mnie od śmierci.
Czyn twój serce moje wzruszył,
Lecz nie zdołasz zgasić ognia
Płonącego w mojej duszy.

Ten, kto chciałby mnie wybawić,
Razem ze mną w ogniu spłonie.
Na proch spali go do szczytu
Gorejący we mnie płomień.
Więc ci radzę z głębi serca,
Wierny druhu mój jedyny,
Zostaw mnie tu w mej samotni
I wróć do swej Tinatiny!“

Tu Awtandil westchnął ciężko:
„Nie wspominaj mojej miłej —
Trudno było z nią się rozstać...
Gdy od ciebie powróciłem,
Rzekłem jej: »Bez Tarijela
Nie przeżyję dnia na pewno.
Pozwól jechać mi do niego,
Nie zatrzymuj mnie, królowno!«

Na to ona mi odparła:
»Jesteś wzorem przyjaciela.
Radość mi ogromną sprawisz,
Wspomagając Tarijela«.
Więc jeżeli cię opuszczę,
Cóż jej powiem? Jak zaprzeczę
Podejrzeniu, że jestem tchórzem,
Co się uląkł niebezpieczeństw?



Więc zakończmy nasze spory!
Zrobisz tak, jak ci wygodnie —
Jeśli nie chcesz w świat wyruszyć,
Płacz i wzdychaj tu bezpłodnie.
Ale błagam cię o jedno,
Mimo żeś jak cień człowieka,
Zbierz ostatek sił i na mnie
Rok cierpliwie tu poczekaj.

Przez ten rok, gdy minie zima,
Huragany, groźne burze,
Kiedy latem dookoła
Pyszną woń roztoczą róże,
Czekaj mnie. Objadę ziemię
I powrócę tu po trudach,
Może ślady twojej Nestan
W świecie znaleźć mi się uda“.

Rzekł Tarijel: „Przyjacielu,
Dobroć twoja niezmiernona,
Lecz niełatwo ślad królowny
Znaleźć, o czym się przekonasz.
Prośbę twoją chcę wypełnić.
Wszystkie siły w sobie zbiore
I przez rok się nie dam śmierci,
Ale błagam, powróć w porę“.

Znów witezie przed pieczarą
Pożegnali Asmat młodą
I ruszyli tam, gdzie drogi
W cztery strony świata wiodą.
Znowu dziewczę nieszczęśliwe
Orosiło oczy łzami —
Oczy czarne jak antracyt,
Lica gładkie jak aksamit.

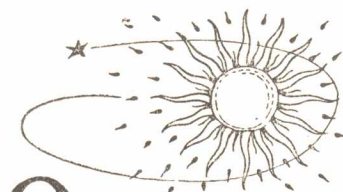
Przez dzień cały przyjaciele
Mknęli razem strzemię w strzemię,
Myśląc ciągle o rozstaniu.
Kiedy mrok otulił ziemię,
Tuż nad samym brzegiem morza
Do rozstajnych dróg przybyli,
Utrudzeni zsiadli z koni,
By się obmyć i posilić.

Rzekł Awtandił: „Przyjacielu,
Tu rozstanie nam sądzone.
Stąd pojedę już samotnie,
By zobaczyć się z Fridonem.
To on przecież widział Nestan,
Gdy łódź lotna pruća fale,
Więc się muszę z nim zobaczyć.
Powiedz tylko, jak go znaleźć“.

„Jedź na wschód — rzekł mu Tarijel —
I nie zbaczaj w żadną stronę,
A z pewnością cel osiągniesz
I zobaczysz się z Fridonem.
Gdy mu wieść przyniesiesz o mnie
Z dalekiego jadąc świata
I pozdrowisz w imię moje,
On powita cię jak brata“.

Ustrzeliwszy kozła w lesie,
Siedli obaj do wieczery.
Noc ich mrokiem otuliła,
Wiatr powiewem chłodził świeżym.
O świtaniu wstali smutni,
Osiodłali konie wrone,
Rozjechali się w milczeniu,
Płacząc, każdy w swoją stronę.

MODLITWA AWTANDIŁA DO PLANET



O podstępny świecie, powiedz,
 Czemu tak człowieka gnębisz?
 Czemu groźne tajemnice
 Kryjesz przed nim w swojej głębi?
 I dlaczego każesz ludziom
 Szukać śmierci po bezdrożach?
 Nic tułaczy nie ochrania,
 Tylko jedna łaska boża!

Rozłączony z przyjacielem,
 Wódz Awtandił gorzko płacze:
 „Gorze mi! I znowu muszę
 W biedzie życie wieść tułacze.
 Od rozstania z Tarijelem
 Kamień mi na sercu leży.
 Uczuć ludzkich jedną miarą
 Nikt nie zdoła nigdy zmierzyć!“

Biegając za nim, zgraja zwierząt
 Chciwie łyży bolesne piła,
 A nieziemski ogień płonął
 W mrocznej duszy Awtandiła.
 Wspominając cudną postać
 Tinatiny ukochanej,
 Witeż pokrył się białością
 Jak pod śniegiem kwiat różany.



Jak huragan zgiąć potrafi
Pień topoli w jednej chwili,
Tak los srogi Awtandila
Pod ciężarem swym pochylił,
Lecz nie złamał. Dzielny witez
Tak rozmyślał w samotności:
„Porzucilem swoje słońce —
Teraz mrok w mym sercu gości!“

I do słońca rzekł błagalnie:
„Tyś obrazem Tinatiny,
Bo jak ona jasność niesiesz
Na pagórki i doliny.
W tej jasności rozkochany,
Wokół siebie widzę ciemność.
Czemuż dola nielaskawa
Kryje słońca blask przede mną?“

Gdy promienie słońca gasną,
Ludzi mrok i zimno nęka.
Dwa nade mną słońca zgasły —
Dwakroć większa moja męka.
Tylko kamień się nie wzrusza,
Obcy mu jest ból człowieczy,
A krwawiącej rany serca
Lekarz nożem nie wyleczy“.

I zwróciwszy się ku słońcu,
Tak się biedny witez żalił:
„Słońce, słońce! Znak zwycięstwa
Po niebieskiej kreślisz dali.
Nad nieszczęściem się ulituj —
Niech mnie wesprze twoja siła.
Kornie błagam, wróc królownie
Stęsknionego Awtandila!“

O Saturnie, gwiazdo smutku!
Spójrzij na mnie z wysokości,
Pomnóż łzy i rozpacz moją,
Do bezkresnych wtrąć ciemności,
Ześlij na mnie nowe męki,
Okryj serce me żalobą,
Tylko powiedz jej: »Twój miły
Płacząc tęskni wciąż za tobą«.

O Jowiszu! Twe promienie
Sprawiedliwość ziemi niosą.
Na sąd wezwij nasze serca
I nieszcześną miłość osądź!
Nie gub duszy mej wyrokiem
Bezlitosnym i surowym,
Spójrz, jak serce me zraniły
Cudne oczy białogłowy.

Marsie, ty planeto wojny!
Ugodź mnie swą kopią złotą,
Niech z przebitej mojej piersi
Tryśnie krwi szkarłatny potok,
Ale cudnej Tinatinie
O tęsknocie mej opowiedz —
Prosi ciebie, błaga o to
Wyczerpany z sił wędrowiec!

Pomóż mi, promienna Wenus!
Ocal mnie i moją miłość,
Skróć udrękę i napełnij
Słabe ciało nową siłą.
Ty dziewicom piękność dajesz,
Jakiej nie ma nawet róża —
To za twoją sprawą cierpię,
Więc się ty nade mną uzał!

O Merkury! Z twoim losem
Jam swój los nieszczęsny związał:
Tobą Słońce wiecznie włada
I mnie w ogniu swym pogrąża.
Łez mych krwawych atramentem
Opisz dolę mą ponurą,
A wychudła moja postać
Niech posłuży ci za pióro.

O Księżycu, twe oblicze
To w ubytku, to w rozkwicie.
Tak i ja z wyroku Słońca
Niewesołe wiodę życie.
Czasem silny jak nikt w świecie,
Tracę nagle całą siłę.
Błagam ciebie, powiedz o tym
Tinatinie mojej milej.

Rozpacz moją siedem planet
Nieprzerwanie śledzi z góry:
Słońce, Saturn, Mars i Jowisz,
Księżyc, Wenus i Merkury.
One niech zaświadczą tobie,
Czarnobrewa Tinatino,
Że od dnia, gdym cię opuścił,
Z oczu moich łzy wciąż płyną“.

Szepnął witeź swemu sercu:
„Serce! Dostyć już rozpaczy!
Demon budzi w nas zwątpienie
I na łzy z radością patrzy.
Śnieżne skronie Tinatiny
Zdobi splot warkoczy kruczych,
By je ujrzeć, przedtem trzeba
Wytrwałości się nauczyć.



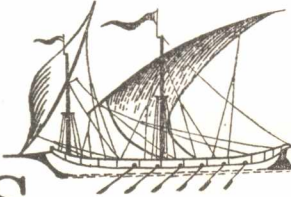
Jeśli wytrwasz, jeśli w męstwo
Niby w pancierz się uzbroisz,
Odzyskamy nasze słońce,
Które rany nam zagoi“.
Tu zaśpiewał. Pieśń tak słodka
Popłynęła nad pustkowiem,
Że dorównać cudnym dźwiękom
Mógłby chyba tylko słowik.

Słyszac pieśni Awtandila,
Zwierz najdzikszy lęz miał w oku,
A kamienie w ślad za jeźdźcem
Wychodziły z dna potoków
I wsłuchane w głos witezia,
Przepojony smutkiem tkliwym,
Zaczynały gorzko płakać
Nad młodzieńcem nieszczęśliwym.



OPOWIEŚĆ SIEDEMNASTA

O TYM, JAK AWTANDIL
PRZYBYŁ DO MULHAZANZARU



Siedemdziesiąt dni bez przerwy
Pędził witeź po bezdrożach,
Wreszcie dostrzegł łódź płynącą
Ku piaszczystym brzegom morza.
Gdy przybysze wyszli na brzeg,
Witeź zbliżył się i spytał:
„W jakim kraju się znajduję?
Gdzie mam władzę ziem witać?”

Wtedy rzekli mu żeglarze:
„Ziem tureckich tu granica.
Obok leży Mulhazanazar,
Tuż za wzgórzem zaś stolica.
Władą sławnym tym królestwem
Bohaterski witeź Fridon.
Naród kocha go, a wojska
Po zwycięstwa za nim idą“.

Więc wyruszył tułacz dalej,
Minał wzgórze, przebrnął parów.
Oczom jego się ukazał
Sławny gród Mulhazanazaru.
Tuż przed grodem, na rozłogach,
W otoczeniu licznej świty,
Polowanie rozpoczął
Jakiś witeź znamienity.

Nagle spod nóg naganiaczy
Orzeł zerwał się do lotu.
Wódz Awtandił łuk pochwycił
I po chwili ostrzem grotu
Ugodzony w samo serce,
Runął ptak przeszyty strzałą.
Strzelec uniósł go za skrzydła
I ku łowczym pomknął śmiało.

Rozstąpili się wielmoże.
Wtedy dostrzegł Awtandiła
Młody, dzielny władca Fridon.
Twarz mu gniewem się pokryła,
Wezwał sługę i zawołał
Głosem groźnym i surowym:
„Jedź i spytaj, jakim prawem
Obcy śmiał naruszyć łowy?!“

Pomknął sługa, lecz sam widok
Jeźdźca tak go oczarował,
Że wpatrzony w twarz promienną,
Nie mógł z gardła dobyć słowa.
Rzekł do niego witeź: „Wracaj
I swojemu panu donieś:
Tarijela brat przybrany
Pragnie ścisnąć jego dłonie“.

Gdy usłyszał chmurny Fridon
Imię druha Tarijela,
Serce mocniej mu zabiło,
W oczach zalśnił blask wesela.
Jak wiatr pomknął w stronę gościa
I witając Awtandiła
Rzekł: „W witezia tego postać
Jasność słońca się wcieliła!“

Potem obaj zsiadłszy z koni,
W bratnich zwarli się uściskach.
Tłum pierścieniem ich otoczył —
Każdy chciał zobaczyć z bliska
Brata wodza Tarijela,
Co w nieszczęściu im dopomógł.
A gdy koni znów dosiedli,
Fridon krzyknął: „Czas do domu!“

W drodze ku grodowej bramie
Rzekł Awtandił do Fridona:
„Abyś poznał me zamiary
I dziś jeszcze się przekonał,
Że los brata Tarijela
Droższy mi nad własne zdrowie,
O tym wszystkim, co nas łączy,
W krótkich słowach ci opowiem“.

I Awtandił opowiedział,
Jak przez lata trzy bez mała
Tułał się, gdy Tinatina
Po witezia go wysłała.
Jak odnalazł Tarijela,
Jak przysięgą z nim się zbratał
I jak witeź w nędzy żyje
W grocie, gdzieś na krańcu świata.

Słyszac tę opowieść Fridon
Nie mógł się od westchnień wstrzymać.
Jechał chciwie zasłuchany.
Gdy mu stanął przed oczyma
Ogrom nieszczęść Tarijela,
Żal ogarnął go głęboki
I po chwili z oczu króla
Popłynęły łez potoki.



W ślad za dzielnym swoim władcą
Straż przyboczna zapłakała.
Jeźdźcy darli szaty w strzępy,
Obnażając smagłe ciała.
Pierwszy ocknął się Awtandił,
Rzekł: „Wylewać łzy nie pora“.
I ciężkimi powiekami
Zakrył oczu swych jeziora.

Tak wjechali w mury grodu.
Tam na wzgórzu niewysokim
Marmurowy pałac króla
Wieżycami bódł obłoki.
Tuż przed wejściem ich powitał
Długi szereg dworzan strojnych,
Mądrych radców króla grono
I wezryów tłum dostojny.

Nadszedł czas wspaniałej uczy.
Przy ugiętych ciężko stołach
Stu wielmożów w pysznych szatach
Zgromadziło się dokoła.
Fridon siedząc obok gościa
Na poddanych dłonią skinął
I po chwili w złotych czarkach
Zaszumiało stare wino.

Tak na ucztach i zabawach
Dni za dniami przemijały.
Fridon gościł Awtandiła
I pokochał sercem całym.
Aż pewnego dnia rzekł witeź:
„Nie chcę ranić twojej duszy,
Lecz by znaleźć cudną Nestan,
Czas mi w drogę już wyruszyć“.

Na to odparł mu król Fridon:
„Troska czoło twoje chmurzy.
Wiem, że musisz nas opuścić,
Nie zatrzymam cię już dłużej.
Lecz byś w drodze nie zapomniał
O przyjaznym ci Fridonie,
Wiernych sług ci dodam orszak
I obdarzę rączym koniem“.

Najdzielniejszych wojowników
Przed oblicze wezwał swoje
I rozkazał klucznikowi
Wydać im najdroższe zbroje.
Konia wybrał z cennym rzędem
I silnego dodał muła,
Aby z ciężką sakwą złota
Mógł wyruszyć w drogę tułacz.

Potem wyszli z Awtandilem
Z grodu, wprost na szczyt wysoki.
„Tam — rzekł Fridon — przystanęła
Łódka Nestan czarnookiej.
Tam na widok łez dziewicy
Spadłem na brzeg jak lawina,
Lecz oprawcy słysząc tętent
Zbiegli. Znikła mi dziewczyna“.

Nadszedł wreszcie czas rozstania.
Znów przyjaciół uścisk złączył
I po chwili już Awtandil
Na rumaku siedząc rączym,
Przed szeregiem wojsk przejechał.
Za nim orszak zdążył w ślad.
Wódz bojowy hełm poprawił
I wyruszył znowu w świat.

OPOWIEŚĆ OSIEMNASTA

O TYM, JAK AWTANDIŁ
WALCZYŁ Z PIRATAMI



Wiele, wiele dni minęło,
 Cała wiosna, lato całe.
 Wódz Awtandił brzegiem morza
 Jechał wraz ze swym oddziałem.
 Wtem spostrzegli jeźdźcy żagle
 I na samym skraju lądu
 Mnóstwo worków, skrzyń, bukłaków,
 Obok nich zaś sznur wielbłądów.

Przy żaglowcu na przystani
 Stało zacnych kupców paru
 Zapatrzonych smętnym wzrokiem
 W drogocenny stos towarów.
 Wódz Awtandił ich pozdrowił,
 Wstrzymał konia i zapytał:
 „Kim jesteście? Takich mężów
 Rodzi ziemia znakomita“.

Odparł mu czcigodny Usam
 Dowodzący karawaną:
 „Kupców widzisz, co z Bagdadu
 Przyjechali dzisiaj rano.
 Mahometa czcimy, przeto
 Łaska nam przyświeca boża,
 Zaś towary chcemy zawieźć
 Do pałacu króla morza.

Tu, na brzegu, półzywego
Dziś znaleźliśmy człowieka.
Statkiem jechał aż z Egiptu —
Droga trudna i daleka!
Na ten statek pełen bogactw
Zgraja się piratów wdarła,
Ograbiła go do szczętu,
Poderżnąwszy kupcom gardła.

Dziwnym trafem z życiem uszedł
Tylko ten nieszczęsny sternik.
Cóż więc robić? Wracać? Przez to
Ponieść mnóstwo strat niezmiernych?
Czy wypuścić się na morze
I narazić na szwank życie?
Gdy brak wiary w siły własne,
Wtedy trudno z wrogiem bić się“.

„Lecz nie rońcie — rzekł Awtandił —
I spokojnie płyńcie morzem.
Nikt odgadnąć nie potrafi,
Jakie są wyroki boże.
Tylko jedno wam przyrzekam:
Że gdy miecz swój ujmę w dłońie,
Wróg tak podły jak piraci
Straszną klęskę musi ponieść“.

„Dzielne serce ma ten witez —
Usam rzekł do swoich ludzi —
Jego spokój sił mi dodał
I nadzieję we mnie wzbudził.
Załadujmy więc towary
I ruszajmy w świat z witeziem!
On z pewnością nas bez szwanku
Do królestwa mórz dowiezie.

Odplynęli. Wiatr pomyślny
Mocnym tchnieniem wydał żagle,
Słońce fale prześwieciło
Złotym blaskiem, kiedy nagle
Statek jakiś się ukazał
Z nienawistną flagą czarną
I taranem na pokładzie.
Kupców błady strach ogarnął.

A tymczasem wróg się zbliżał
Z krzykiem, dmąc na postrach w rogi,
Przechwalał się, że wkrótce
Wytnie wszystkich co do nogi.
Przerazili się żeglarze.
Lica zbladły im jak kreda.
Tylko witeź stał spokojnie —
On przestraszyć się im nie dał.

„Tchórze z was! — na kupców krzyknął. —
Obce wam wojenne sprawy.
By was w boju nie poraził
Pociskami wróg plugawy,
Zabierajcie się stąd wszyscy
I ukryjcie pod pokładem.
Ja grabieżców sam przywitam
I na przemoc znajdę radę“.

A gdy z wyciem przeraźliwym
Przybliżyli się piraci,
Witeź drąg żelazny ujął,
Lecz spokoju nie utracił.
Przywdział pancerz, miecz przypasał
I włożywszy hełm bojowy,
Ciężkim krokiem wszedł na rufę,
Na śmiertelny bój gotowy.

Gdy piraci podpłynęli,
Pierwszy cios wymierzył taran.
Rozbestwiona zgraja lotrów
Na żaglowiec wejść się stara.
Witeź uniósł drąg żelazny,
Zadał cios nieubłagany —
Taran zwałił się z pokładu
I pograżył w morskie piany.

Przerażeni tym piraci
Zamierzali już uciekać.
Skoczył do nich wódz Awtandil —
Wrażej krwi trysnęła rzeka.
Witeź kosił wrogów mieczem,
Raził, strącał ich z pokładu
Tak, że wkrótce po złoczyńcach
Nie zostało nawet śladu.

Otarł czoło dzielny witeź,
Gdy się bój szczęśliwie skończył.
Zetknął statki dwa burtami
I łańcuchem je połączył.
Po czym krzyknął: „Hej, Usamie!
W proch rozbita siła wraza.
Możesz z ludźmi wyjść na pokład,
Bo już nic wam nie zagraża“.

Gdy ujrzeli kupcy skarby,
Które statek wiózł zdobyty,
Ze zdumienia oniemieli,
Długo trwały ich zachwyty.
Wreszcie łupy niezliczone
Na żaglowcu poskładali,
A piracki statek kazał
Witeź sługom swym podpalić.

Wtedy rzekł przemądry Usam
Do witezia Awtandila:
„Twoja zręczność i odwaga
Nas od śmierci ocaliła.
A że wdzięczność nasza nie zna
Ani granic, ani miary,
Oddajemy ci w podzięce
Cały statek i towary“.

„Bracia, gdybym szukał bogactw —
Odparł na to witeź dumnie —
Najcenniejsze skarby świata
Moglibyście znaleźć u mnie.
Nigdy jeszcze prawy witeź
Męstwem swoim nie frymarczył,
Dla mych celów i mych pragnień
Miecz i rumak mi wystarczy.“

Ale proszę, byście w porcie
Po przybyciu do spichlerzy,
Traktowali mnie jak kupca,
Tak by każdy w to uwierzył.
Ja zaś szaty swe rycerskie
Na kupiecki strój zamienię
I sprzedawać będę z wami
Cenne perły i kamienie“.

Usłyszawszy dziwną prośbę
Kupcy zgodnie mu odparli:
„Gdyby nie twe męstwo, wszyscy
W strasznych mękach byśmy zmarli.
Prośbę twoją tak jak rozkaz
Każdy z nas wypełnić gotów,
By cię tylko zadowolić
I uwolnić od kłopotów“.



Dzień burzliwy dobiegł kresu.
Zaszło słońce złotolice.
Rozwinięto wszystkie żagle,
Podniesiono dna kotwicę
I jak orzeł, co szybuje
Gnany wichrem po przestworzach,
Pomknął statek prując fale
Do królestwa władcy morza.



OPOWIEŚĆ DZIEWIĘTNASTA

O TYM, JAK AWTANDIL
PRZYBYŁ DO HUŁANSZARO



Sławny gród — gród Hułanszaro!
Król mórz włada nim potężny.
Jego pałac strzela w chmury
Wieńcem wieżyc niebosiężnych.
Mury grodu dookoła
Pierścień sadów tak otoczył,
Że ich zieleń szmaragdowa
Już z oddali bije w oczy.

Wódz Awtandil zszedł ze statku
I w rozbryzgach srebrnej fali
Przycumował go łańcuchem
Do nadbrzeżnych skał i pali.
A gdy podszedł doń ogrodnik,
Rzekł Awtandil: „Powiedz, panie,
Co tu sprzedać można dobrze,
A co kupić można tanio?“

„Kupcze — odparł mu ogrodnik —
Gród warowny Hułanszaro
Leży w samym środku morza,
Mnóstwo zwożą doń towarów
Z krańców świata zwinne łodzie
I ładowne lotne statki,
Więc za bezcen można nieraz
Kupić u nas klejnot rzadki.

Naszym sławnym grodem włada
Morza król Melik-Surchawi.
Jego rządy sprawiedliwe
Cały naród błogosławi.
Starzec, który tu przyjedzie,
Wnet jak młodzian żwawo tańczy
I nie wędnie u nas nigdy
Róży kwiat i pomarańczy.

Ja dozorcą jestem sadów
Pana, który zwie się Usen.
Kupców też mam w swej opiece,
Więc poradzić tobie muszę,
Byś posłuszny temu prawu,
Co porządku u nas broni,
Wraz z załogą twego statku
Memu panu się pokłonił.

Pan mój wprawdzie jest w podróży
I to całą sprawę gmatwa,
Lecz przypuszczam, że was przyjmie
Żona jego Chatun-Fatma.
O przybyciu twego statku
Zawiadomię ją niezwłocznie,
Słudzy towar wyladują,
A ty w domu jej odpoczniesz“.

Wnet przy statku się zjawiała
Pracowitych sług gromada
I towarów całe stosy
W mgnieniu oka znikły w składach.
A gdy witeź szedł z pokłonem,
Spostrzegł Fatmę u podwoi.
Powitawszy go życzliwie,
Zaprosiła do pokoi.

Znakomita gospodyni
Mogła szczycić się urodą
I choć już nie w kwiecie wieku,
Wyglądała wciąż na młodą.
Kiedy smukła jak dziewczyna
Spoglądała na młodzieńca,
Śledząc jego piękną postać,
Twarz jej pokrył żar rumieńca.

Witeź podał jej podarki.
Najpierw zabrzmiał chór zachwytów,
Po czym uczta się zaczęła,
Która trwała aż do świtu.
Rankiem zaś, gdy biesiadnicy
Sprawiedliwym snem posnęli,
Witeź przejrzał swe towary
I na części je podzielił.

Cenne perły i kamienie
Bez oprawy i w oprawie
Posłał w darze, by ją przyjął
Morza król Melik-Surchawi.
Pozostałe zaś towary
Oddał kupcom. Ci bez zwłoki,
Niosąc worki, w stronę składów
Skierowali swoje kroki.



OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA

O TYM, JAK FATMA
UWOLNIŁA NESTAN-DAREDŻAN
OD PRZEŚLADOWCÓW



Pod gościnny dach Usena
Los zapędził Awtandila.
Ledwie parę dni minęło,
A już Fatma się zmieniła.
Zaprzestała wieczorami
Z urodziwym kupcem gwarzyć,
Ślad rumieńców niespodzianie
Z zasepionej zniknął twarzy.

Tak mijaly dnie za dniami.
Wreszcie witeż ją zapytał:
„Czemu smucisz się, o pani?
Wnet z powrotem mąż zawita
I obdarzy cię skarbami
Zdobytymi w czas podróży...
Czemu więc się niepokoisz?
Czemu śnieżne czoło chmurzysz?”

„Kupcze drogi! — rzekła Fatma. —
Dola moja niewesoła.
Tego, co się tu zdarzyło,
Nikt odmienić już nie zdoła.
Dziewczę cudne jak poranek
O urodzie promienistej
Na nieszczęście straszne skazał
Mój małżonek lekkomyślny.

Ach, nie mogę słów powstrzymać
I choć serce z bólu krwawi,
W zaufaniu chcę natychmiast
Całą prawdę ci wyjawić.
Jeśli rady mi udzielisz,
To, być może, zdołam jeszcze
Uratować nieszczęśliwą
Od okrutnych mąk i nieszczęść.

Więc posłuchaj. Koniec roku
Święci u nas cały naród.
Kupcy kramy zamykają
I z naręczem cennych darów
Na królewski zamek śpieszą.
Aby złożyć w kornej dani
Lśniące perły i diamenty,
Cenne zbroje i dywany.

Król gościnnie ich częstuje
I za dar odplaca darem.
Przez dni dziesięć grzmią cymbały,
Strugą płynie wino stare.
Na turniejach kruszą kopię
Najdzielniejsi wojownicy,
A wyścigów, gier i zabaw
Nie potrafiłby nikt zliczyć.

Kiedys zgodnie ze zwyczajem
Zaprosiła nas królowa,
Mnie i żony możnych kupców.
Noc już była księżycowa,
Kiedy w kręgu zacnych niewiast
Opuściłam lśniący pałac
I najbliższe przyjaciółki
Do ogrodu przywołałam.

Dzwoniąc śmiechem, rozbawione,
Wśród znajomych szłyśmy alej.
Gwar biesiady pałacowej
Coraz bardziej cichł w oddali.
Wreszcie zaszłyśmy do domku,
Co nad samym morzem stoi.
Nagle smutek mnie ogarnął,
Wtargnął lęk do duszy mojej.

Widząc, że się zamyśliłam,
Przyjaciółki rozbawione
Zostawiły mnie i poszły
W głąb ogrodu, w inną stronę.
Otworzyłam wtedy okno,
Wietrzyk muskał moje lica,
A przede mną srebrzył fale
Migotliwy blask księżyca.

Wtem błysnęło coś w oddali,
Niby ryby grzbiet wygięty...
Wychyliłam się przez okno
I wpatrzona w wód odmęty,
Rozpoznałam kształty łodzi,
Którą niosły fale chyże
Ku brzegowi skalistemu
Z każdą chwilą coraz bliżej.

Łódź wpłynęła do zatoki.
Rozglądając się dokoła,
Wyszli z niej dwaj czarni słudzy.
Żaden dostrzec mnie nie zdołał,
Bowiem domek mój samotny
Pośród orlich gniazd na skałach
Bujna zieleń drzew i krzewów
Mrocznym gąszczem otaczała.

Obejrzawszy czujnie brzegi,
Słudzy poszli w stronę łodzi
I palankin z niej wynieśli...
— Sercem moim targnął podziw —
Oto z głębi palankinu
Wychyliła się dziewica
O urodzie tak promiennej,
Że przyćmiła blask księżyca.

Rozejrzała się dokoła,
Wzrokiem smętnym, lecz tak jasnym,
Że noc w dzień się przemieniła
I na niebie gwiazdy zgasły.
Zatrzasnęłam wtedy okno,
Odwracając twarz do ściany,
By mi oczu nie poraził
Czarodziejski blask świetlany.

Czterech sług wezwałam dzielnych,
Co na straży przy mnie stali,
I wskazując im dziewicę
Rzekłam: »Trzeba ją ocalić!
Do oprawców czarnoskórych
Cicho zbliżcie się, a potem
Piękną brankę od nich kupcie,
Płacąc każdą cenę złotem.

Jeśliby zaś do mej woli
Skłonić się nie byli radzi
I nie chcieli jej uwolnić,
Rozkazuję obu zgladzić!«
Wnet posłuszni moi słudzy
Bezszelestnie zbiegli na dół,
Lecz z czarnymi w sprawie branki
Snadź nie mogli dojść do ładu.

Widząc, że się czarni zbroją
Grożąc moim niewolnikom,
Wychyliwszy się przez okno,
Zawołałam: »Śmierć nędznikom!«
Wtedy słudzy wzniesli miecze —
Spadły z karków głowy ścięte
I po chwili czarne ciała
Zanurzyły się w odmęty.

Zeszłam wtedy do dziewicy
I złożywszy przed nią ukłon,
Zapatrzyłam się w podziwie
Na niebiańską postać smukłą
I na blask, co nad jej czołem
Rozpościerał się dokoła...
Jej urody równej słońcu
Nikt opisać by nie zdołał“.

Po tych słowach z oczu Fatmy
Strumień łez gorących trysnął.
Wódz Awtandił pobladł tylko
I zwiesiwszy głowę nisko,
Szepnął: „Nie płacz, Fatmo, lepiej,
Swą opowieść dziwną dokończ“.
Gospodyni łzy otarłszy
Zamyśliła się głęboko.

Wreszcie rzekła: „Tę dziewicę
Pokochałam całym sercem,
W dom przywiodłam swój, pod stopy
Rozesłałam jej kobierce
I spytałam: »Powiedz, słońce,
Ty, co blaskiem złocisz chmury,
W jakim kraju barbarzyńskim
Wpadłaś w ręce czarnoskórych?«

Nie dostałam odpowiedzi.
Dziewczę, drżąc jak liść na wietrze,
Łzami oczy orosiło.
Na jej lica coraz bledsze
Taki smutek nagle spłynął,
Że w południe cień ponury
Okrył lśniące ściany komnat
I obronne grodu mury.

Wreszcie rzekła: »Tyś jak matka
Otoczyła mnie opieką...
Zły los porwał mnie i rzucił
Od ojczystych stron daleko.
A więc wybacz, dobra Fatmo,
Opiekunko moja droga,
Że nie powiem ci nic więcej,
By nie skarżyć się na Bogą«.

Pomyślałam wtedy: »Dziewczę
Zbyt zmęczone jest widocznie,
By wspominać straszne dzieje.
Niech więc w domu mym wypocznie.
A gdy przyjdzie jej ochota,
Sama z trosk się własnych zwierzy —
Mądry wie, że w takich sprawach
Naglić ludzi nie należy«.

OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA PIERWSZA

O TYM, JAK FATMA OPOWIEDZIAŁA
MĘŻOWI O PIĘKNEJ BRANCE



Tę dziewicę, co jak słońce
 Blaskiem swoim mnie olśniła,
 Przed oczyma śmiertelników
 W jednej z komnat swych ukryłam.
 By zakłócić jej spokoju
 Żaden śmiałek się nie ważył,
 Dzień i noc mój wierny sługa
 Przed jej drzwiami stał na straży.

Dnie i noce nieznajoma,
 Obojętnym błędząc wzrokiem,
 Długie rzęsy oczu czarnych
 Zalewała łez potokiem.
 Tak od świata odgradzona
 Żyła niby w dziwnym pólśnie.
 Bieli zębów jej perłowych
 Nie odślaniał nigdy uśmiech.

Podłożywszy dłoń pod głowę,
 Zasnęła wciąż o głodzie,
 A potrawy ledwie tknięte
 Wynoszono od niej co dzień.
 Żadnych szat nie chciała przyjąć.
 Suknię swą jak krew czerwoną
 Ozdobiła lekkim szalem,
 Okrywając twarz zasłoną.

Tej zasłony, co i teraz
Na jej czole pewnie zwisa,
Choć widziałam wiele dziwów,
Nie potrafię ci opisać.
Jak stal mocna, lecz przejrzysta,
A jak jedwab taka miękka.
Trudno wierzyć, że ją mogła
Utkać zwykła ludzka ręka.

Takeśmy pod jednym dachem
Obok siebie żyły społem.
Dnie za dniami przemijały,
Dnie pochmurne, niewesołe.
Wreszcie kiedyś zrozumiałam,
Że bez rady mego męża
Tracę cenny czas na darmo,
Bezcelowo myśl wytężam.

Więc pobiegłam do Usena
I objąwszy go za szyję,
Powiedziałam: »Chcę ci wyznać
To, co w głębi serca kryję.
Lecz mi przedtem musisz przysiąc,
Że tajemne moje słowa,
Nawet śmiercią zagrożony,
W grób zabierzesz i zachowasz«.

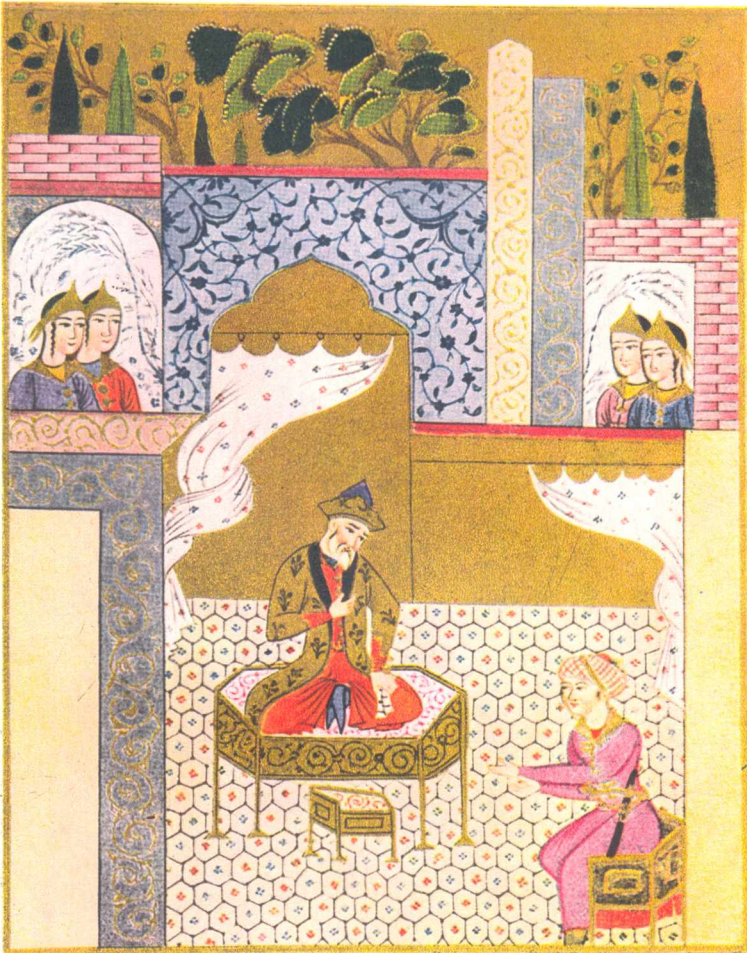
Mąż rzekł: »Niechaj mnie omija
Po kres życia boża łaska,
Jeśli zdradzę tajemnicę!
Niech o skały głowę strzaskam!«
Wtedy wszystko mu wyznałam
I powiodłam przez krużganki
Do komnaty mej tajemnej,
Przed oblicze cudnej branki.

Zobaczywszy nieznajomą,
Mąż zdumiony mowę stracił.
Wreszcie krzyknął: »Jakieś bóstwo
W tej ukrywa się postaci!
Padliśmy do stóp dziewicy
Ze słowami: »Jasna pani!
Powiedz, w czym ci można pomóc?!
Kto twe serce krwawo zranił?!

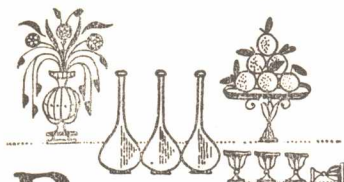
Gdzie lekarstwo na ból znaleźć?
Jak niedoli kres przybliżyć?
Czemu lica twe promienne
Zbladły teraz jak narcyzy?«
Do dziś nie wiem, czy dziewica
Usłyszała słowa szczerze.
Zacisnęła tylko usta,
Zakrywając rzędy pereł.

A gdy wreszcie biedne dziewczę
Twarz uniosło z cichym jękiem,
Pomyślałam, że mi serce
Na jej widok z bólu pęknie.
Nagle chłodne iskry gniewu
Zapaliły się w jej wzroku.
»Ciężko mi — szepnęła — idźcie!
Dajcie mi nareszcie spokój!«

Utajonym w głębi ogniem
Wybuchnęła jej źrenica
Tak, że w gniewie wyglądała
Jak zraniona tygrysyca.
Choć me serce gniew dziewicy
Jak żelazo zranił ostre,
Jak dotychczas co dzień prawie
Odwiedzałam ją jak siostrę.



O TYM, JAK NESTAN-DAREDŽAN
DOSTAŁA SIĘ W RĘCE KRÓLA MÓRZ



Raz, gdy poszedł mąż do zamku
Zanieść dary, los tak zdarzył,
Że król mórz w biesiadnej sali
Gościł kupców i żeglarzy.
Więc i jego przyjął godnie
I zaprosił też w gościnę,
A gdy mąż mój usiadł przy nim,
Król mu podał czarę z winem.

Wypił Usen czarę do dna.
Popłynęło wino strugą —
Zanim pierwszą od ust odjął,
Już mu król napelnił drugą.
I zapomniał mąż o kłatwie,
Którą dwakroć mi powtórzył.
— Niepotrzebne rogi osłom
Ani wronom zapach róży! —

A władyka uśmiechnięty
Szepnął: »Miły mój Usenie,
Dary, które mi przynosisz,
Zawsze wielce sobie cenię.
I ciekawość mnie ogarnia,
Skąd i z jakiej to krainy
Przez twe ręce do mych skarbców
Płyną perły i rubiny«.

Słyszając te pochwały Usen
Podchmielony krzyknął dumnie:
»Te podarki, to błahostka!
Są i większe skarby u mnie.
Mógłbym przysłać do pałacu
Tak precudne dziewczę w darze,
Że dwór cały zmysły straci,
Gdy mu klejnot ten pokażę«.

Opowieścią o dziewicy
Wzbudził Usen wielki podziw.
Gdy usłyszał król mórz, Melik,
O niebiańskiej jej urodzie,
Zaciekawił się ogromnie
I natychmiast straży zlecił
Przyprowadzić tę, od której
Urodziwszej nie ma w świecie.

Sama wtedy byłam w domu.
Wtem gwar rozległ się za ścianą
I dowódca dworskiej straży
W drzwiach komnaty mojej stanął.
»Król polecił mi — rzekł do mnie —
Na dwór przywieźć tę dziewczę,
Co urodą swą promienną
Może równać się z księżycem«.

»Chcesz ją znaleźć pod mym dachem?« —
Zapytałam ze zdumieniem.
A dowódca odparł: »Fatmo,
Słowo męża twego cenię.
A że mąż twój tę ślicznotkę
Dziś królowi podarował,
Nie trać czasu na wykrety,
Lecz natychmiast ją przyprowadź«.

Cóż mu miałam odpowiedzieć?
Lęk śmiertelny mnie ogarnął,
Boży gniew sklepienie nieba
Zmienił nagle w czelusć czarną.
Płacząc poszłam do dziewicy,
Opuściwszy nisko głowę.
Ta na moje powitanie
Nie odparła nawet słowem.

Zawołałam wtedy: »Słońce!
Znów nas los doświadczył srogo.
Niebo z gniewu pociemniało,
Łzy już teraz nie pomogą.
Przybył wódz królewskiej straży,
By cię zabrać do zamczyska.
Serce pęka mi z rozpaczey,
Ból jak w kleszczach je zaciska«.

A dziewica mi odparła:
»Tyle ciężkich chwil przeżyłam,
Że i tę spokojnie zniosę,
Nie rozpaczaj, siostró miła!
Ja nieszczęściu się nie dziwię,
Bo gdzie tylko zwrócę oczy,
Ono zawsze jest koło mnie —
Jak cień wierny za mną kroczy«.

I z poduszek się uniosła
Jak zbudzona tygrysica,
Ukrywając pod zasłoną
Zasepione śnieżne lica.
Pas jej wtedy nałożyłam.
Tysiąc pereł w nim jaśniało,
Żeby kupić takie cudo,
Grodu byłoby za mało.

Pochyliłam się i rzekłam:
»Jeśli dobry Bóg pozwoli,
Może dzięki tym klejnotom
Wydostaniesz się z niewoli.«
Nie zdążyłam jej pożegnać,
Już ją stłudzy z sobą wzięli
I zawiedli tam, gdzie czekał
Niecierpliwie władca Melik.

Król przy wejściu ją powitał
I zawołał: »Boże drogi,
Oto z nieba zeszło słońce
W mego domu niskie progi!
Któż, powiedzcie mi, prócz Boga
Mógłby stworzyć taką postać?
Kto pokocha ją, ten musi
Wiernym jej do śmierci zostać!«

Posadziwszy obok siebie,
Jął dziewicę wypytywać:
»Ktoś ty jest i jaka ziemia
Urodziła cię szczęśliwa?«
Ale ona wciąż milczała
Z opuszczonym wzrokiem smutnym,
Wspominając krzywdy, które
Los wyrządził jej okrutny.

Król rzekł: »Martwi nas milczenie
Tej dziewicy zasmuconej,
Może myśli o kochanym
Lub rodzinne widzi strony?
Może dusza jej jak gołąb
Srebrnopióry w niebo wzlata,
Ona zaś samotnie tęskni
Obojętna dla spraw świata?»

Gdybyż syn mój prędzej wrócił
Z pola walki — bez wątpienia
Wnet uwolniłby dziewicę
Od tęsknoty i cierpienia.
Lecz dopóki syn w pochodzie,
Niech dziewica mieszka z nami,
Ukrywając za zasłoną
Twarz swą gładką jak aksamit.

Po tych słowach król rozkazał
Odziać brankę w szaty zwiewne,
By jaśniała w nich urodą,
Jak przystało na królownę.
Gdy koronę rubinową
Założono jej na skronie,
Wydawało się, że ogniem
Hebanowy warkocz płonie.

Na spoczynek ją powiedli
Dostojnicy i wielmoże
Do komnaty, w której stało
Wykładane złotem łożo.
I rzezańców postawiono
Przed komnatą jej na straży,
By dziewicy w śnie spokojnym
Nikt przeszkodzić się nie ważył.

Uczta dalej się ciągnęła.
Król pił wino bez umiaru.
Usenowi za dziewicę
Posłał mnóstwo cennych darów,
Muzykantom zaś rozkazał
Bić na radość w tarabany
I po chwili grzmot się rozległ,
Aż zadrżały zamku ściany.



Wtedy Nestan drzwi otwarła
I do służby dumnie rzekła:
»Nadaremnie pilnujecie,
Żebym z zamku nie uciekła!
Nie chcę waszą być królową,
Głowy kornie nie pochyle,
Jeśli mnie tu zatrzymacie,
W serce wbiję ostry sztylet.

Wtedy król, porwany gniewem,
Każe rozsiec was na ćwierci
I żadnemu, bądźcie pewni,
Nie przebaczy mojej śmierci.
Więc wypuście mnie na wolność,
Zanim minie ta noc chłodna.
Ja wam za to do podziału
Wszystkie skarby chętnie oddam«.

Zdjęła z głowy swej koronę,
Z szyi zaś naszyjnik złoty
— Dar Melika — rzadki klejnot
Przecudownej wprost roboty.
Potem pas zerwała z bioder
I rzuciła im pod nogi.
Widząc tyle wielkich bogactw,
Słudzy milczkiem zeszli z drogi.

Tylko jeden z nich bez słowa
Własny płaszcz dziewicy podał
I przez tajne drzwi do parku
Wyprowadził ją po schodach.
Tam, zmyliwszy czujność straży,
Prześliznęła się przez wrota.
Smok okrutny czarnym cielskiem
Córy niebios nie omotał.

O północy czyjaś ręka
W moje okno zastukała.
Otworzyłam drzwi i w progu
Cudne dziewczę znów ujrzałam.
»Fatmo — rzekła — daj mi konia.
Błagam ciebie z całej duszy,
Bo uciekłam z zamku króla,
Wkrótce pościg za mną ruszy«.

Aby mogła ująć pogoni
I ocalić się szczęśliwie,
Rozkazałam najlepszego
Z naszej stajni konia przywieść.
Gdy dosiadła go dziewczica,
Rumak zerwał się jak wiatr —
Mignął tylko srebrną grzywą
I zaginął po nim ślad.

Późną nocą do Melika
O ucieczce wieść dotarła.
Król się zatrząsł siny z gniewu,
Jęk wydobył mu się z gardła.
Wkrótce pogoń lotną wysłał
Łądem i po rzecznych falach,
Lecz dziewczicy nawet śladu
Do tej pory nikt nie znalazł.

OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA TRZECIA



O TYM, JAK NESTAN-DAREDŻAN
ZOSTAŁA UWIEŻIONA W TWIERDZY KADŻETI



Zaginęło nasze słońce.

Dzień za dniem się szybko toczy,
A ja wciąż o Nestan myślę
Wypłakując za nią oczy.
Dom mi obrzydł. Puch dywanów
W kamień się zamienił twardy,
A do męża obłudnika
Nic nie czuję prócz pogardy.

Raz, gdym z rynku powracała,
Wśród cienistych drzew gospody
Cudzoziemców trzech spostrzegłam
Urodziwych, strojnych, młodych.
Widać było po ich twarzach,
Po rumakach i odzieży,
Że niejedną z dróg dalekich
W życiu każdy z nich przemierzył.

Kiedy sługa cudzoziemcom
Dzban starego wina podał,
Dwaj opowieść rozpoczęli
O wędrówkach i przygodach.
Trzeci słuchał ich w milczeniu,
Wreszcie przerwał niecierpliwie:
»Znam te wszystkie opowieści,
Więc się żadnej z nich nie dziwię.

No, bo jakżeż mam się dziwić,
Kiedym sam przygodę przeżył
Taką, w którą, Bóg mi świadkiem,
Trudno będzie wam uwierzyć.
Cud widziałem. Na myśl o nim
Jeszcze mnie przebiega mrowie.
Wasze bajki są jak sieczka,
Perłą moja zaś opowieść!

Jam jest wiernym sługą władcy,
Co tron złoty miał w Kadzeti.
Umarł król, lecz pozostawił
Dwoje sierot — małych dzieci.
Smukłą Rodię i Rosana
Wychowuje siostra króla
Dułarducht — surowa jejmość,
Co się łzami nie rozczula.

Na jej rozkaz od lat paru
Zajmujemy się rozbojem.
Imię wodza naszej bandy
Szepczą kupcy z niepokojem,
Bo dowodzi nami Roszak,
Postrach statków i karawan.
Wieść o jego krwawych czynach
Przerażeniem lud napawa.

Wczoraj nocą, kiedy oddział
Jechał stępa w ślad za wodzem,
Blask cudowny spłynął z nieba
I roztoczył się po drodze.
Porażone tym widokiem,
Konie drżały i chrapały,
A ja w blasku tonąc wzrokiem
— Słońce spadło! — zawołałem.

— Nie! — odparli przyjaciele —
To blask gwiazdy spadającej,
Który niebo złotą igłą
O północy z ziemią łączy. —
A rozważny wódz nasz Roszak
Półkolisty szyk rozwinął
Okrażając to zjawisko,
Co jaśniało nad doliną.

Nagle z źródła tego blasku,
Co na drodze się rozświecił,
Głos się dobył: — Jestem posłem
Z Hułanszaro do Kadzeti.
A wy, ludzie, co za jedni? —
Tu się rozległ brzęk uprząży
I przed nami jeździec stanął
Piękny niby młody księżyc.

Jego twarz jak błyskawica
Zajaśniała w nocnym mroku.
Z oczu spływał strumień światła
Rozjaśniając wzgórza wokół.
Długie rzęsy jak z agatów
Cień rzucały na źrenice...
Wódz nasz Roszak pierwszy odgadł,
Że przed sobą ma dziewicę.

Więc zapytał: — Kto ty jesteś?
I dlaczego jedziesz sama?
Tylko szczerze mów, ślicznotko,
I nie próbuj mnie okłamać! —
Lecz dziewica obojętna
Nie odparła ani słowa.
Żał mi ciebie, w szpony smoka
Wpadłaś, córko księżycowa.

Roszak zaś zawołał: — Bracia!
Trafił nam się łup bogaty!
Do królowej jedźmy z branką
Przyodzianą w męskie szaty.
Jej cudowna wprost uroda
W zamku wzbudzi taki podziw,
Że Dułarducht nas pochwali
I sownie wynagrodzi.

Zachęcony tymi słowy
Oddział pomknął do Kadzeti,
Wioząc z sobą cudne dziewczę,
Ułowione w nasze sieci.
Ja zaś tu, do Hulanszaro,
Wpadłem jeszcze po towary
I dogonię druhów w drodze
Na swym lotnym koniu karym«.

Skończył młodzian swą opowieść.
Usłyszawszy ją przypadkiem,
Ucieszyłam się ogromnie
I wymknęłam się ukradkiem.
Błysnął mi nadziei płomień,
Łzy osuszył na powiekach,
Choć do Nestan droga była
Straszna, trudna i daleka!

W domu miałam dwóch Etiopów,
O kręconych włosach kruczych.
Już w dzieciństwie ktoś tych ludzi
Czarodziejskich sztuk nauczył.
Mogli oni w mgnieniu oka
W niewidzialnych się zamienić
I szybować bezszelestnie
Po najdalszych krańcach ziemi.

Do Kadzeti ich wysłałam.
Nie zwlekając ani chwili,
Polecieli i wieczorem
Z taką wieścią powrócili:
»W niedostępnej baszcie żyje
Biedna Nestan czarnowłosa,
A poślubić ją zamierza
Sam następca tronu — Rosan.

Lecz obecnie dni żałoby
Na kadzeckim trwają dworze —
Dułarducht straciła siostrę
Mieszkającą gdzieś za morzem.
Chcąc wziąć udział w jej pogrzebie,
Opiekunka właśnie teraz,
Z czarowników swoich świętą,
W długą podróż się wybiera.

Na skał szczytach jest wzniesiony
Niebosiężny gród Kadzeti.
Twierdzy tak obwarowanej
Nie ma chyba w całym świecie.
W głębi skały granitowej
Wydrążony jest korytarz,
Co prowadzi do tej baszty,
W której Nestan jest ukryta.

Tego przejścia podziemnego
Strzeże sześć tysięcy śmiałych,
Wyborowych, młodych ludzi,
Wojowników doskonałych.
A przy każdej z trzech bram grodu
Czuwa wojska jeszcze więcej». —
Wieścią sług mych zrozpaczona,
Załamalam z bólu rękę“.



Tu Awtandił rzekł: „Na słońce,
Co nad nami teraz świeci,
Błagam ciebie, mów mi, Fatmo,
Wszystko, co wiesz o Kadżeti.
Chyba ci, co tam mieszkają,
To nie widma ani duchy,
Bo że do nas są podobni,
O tym wszędzie krążą słuchy“.

Rzekła Fatma: „To nie duchy,
To są ludzie z krwi i kości,
Ale groźni czarodzieje,
Pełni pychy i podłości.
Kto przeciwko nim się porwie,
Tego pozbawiają wzroku,
Aby śmiałek na ich ziemi
Nie mógł zrobić ani kroku.

Oni burze rozpętują,
Topią łodzie i galery,
Rwą na statkach żagle w strzępy
I druzgocą w drzazgi stery,
Każdy z nich po wodzie biega
Lub wlatuje ptakiem w górę,
Umie noc rozjaśnić blaskiem,
A w dzień słońce zmienić w chmurę“.

Tu się witeź rozstał z Fatmą
I modlitwę wzniósł do nieba.
„Boże — szepnął — tak niewiele
Już do szczęścia mi potrzeba!
Tyś mnie w swoją wziął opiekę
I do celu wskazał drogę.
Nie opuszczaj mnie, Wszechmocny,
Cóż bez Ciebie zdziałać mogę?“

Wstał nazajutrz żądny czynów —
Duch unosił go skrzydlaty —
I jak w nocy postanowił,
Rzucił w kąć kupieckie szaty.
Znowu przywdział strój witezia
I przywołać kazał Fatmę.
Oczy lwa błyszczały jasnym
I nadziei pełnym światłem.

Jego twarz jak sad kwitnący
Różowiła się i bladła.
Gdy wezwana gospodyni
Weszła cicho i usiadła,
On obdarzył ją uśmiechem,
A gdy oczy lekko zmrużył,
Długie rzęsy cień rzuciły
Na pąsowe płatki róży.

Wtedy rzekł: „Nie jestem kupcem,
Stąd w mym stroju taka zmiana.
Jam jest witeź, wódz naczelny
Wojsk monarchy Rostewana.
Wielką władzę mam w swym ręku
I bogactwa niebywale,
A kupiecki strój z rozmysłem
Na wyprawę przyodziałem.

Ma władyka mój potężny
Piękną córkę Tinatinę.
Aby zdobyć rękę córki,
Porzuciłem swą krainę,
Bo odnaleźć obiecałem
Zagubioną w świecie Nestan —
Tę dziewicę, co w Kadzeti
Uwięziona w baszcie mieszka“.

Tu Awtandił opowiedział
O miłości Tarijela:
„Klnę się tobie, droga Fatmo,
Morze łez ten biedak przelał.
Pomóż mi ocalić dziewczę,
Które w smutku i łzach tonie —
Niech zasiądą zakochani
Na ojcowskim złotym tronie.

Wyślij teraz swego sługę
Z tajnym listem do Kadżeti,
Niechaj zmyli czujność straży,
Do królowny niech poleci.
My zaś wszystko wypełnimy,
Co nam Nestan zdziałać każe.
Przyjdzie dzień, gdy legną w prochu
Nienawistne siły wraże“.

„Pocieszyłeś mnie, witeziu —
Wyszeptała gospodyni. —
Całym sercem chcę jej pomóc,
Do jej szczęścia się przyczynić.
Wnet przywołam tutaj sługę
I nim słońce blask roznieci,
On sposobem czarodziejskim
Z listem znajdzie się w Kadżeti“.



ՀԱՅԿԵՆԿԱՆ
ՅՈՅՆՈՒՄՈՒՅՆ

OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA CZWARTA

O TYM, JAK NESTAN-DAREDŻAN
WYSLAŁA LIST DO UKOCHANEGO



Taki list wysłała Fatma:
„O królowno moja miła,
W świat odchodząc, dom mój cały
Wielkim smutkiem nappełniaś.
O nieszczęsnym swoim losie
Nie wyrzekłaś ani słowa.
Teraz znam już tajemnicę,
Którą na dnie serca chowasz.

Przybył dziś do Hułanszaro
Witeź śmiały i waleczny,
Wódz Awtandił, młody Arab,
Tarijela druh serdeczny.
Szuka cię po całym świecie,
Ślub spełniając, który złożył,
Bo kochany twój sił nie ma
Błąkać się po świecie bożym.

Ten list Fatmy w sercu twoim
Niech nadziei promyk wznieci,
Donieś tylko jak najrychlej
Wszystko, co wiesz, o Kadżeti.
Czy to prawda, że za morze
Czarodzieje jadą z dworem?
Ile wojska pozostało?
Napisz o tym, napisz w porę!

Do miłego Tarijela
Przyślij słów łaskawych parę.
Wkrótce wolność już odzyskasz,
Wróg poniesie straszną karę!
Więc się nie trap i cierpliwie
Czekaj kresu twej niedoli,
Lew odnajdzie ukochaną
I z więzienia ją wyzwoli“.

Taki list oddając słudze,
Co się w kornym zgiął ukłonie,
Fatma rzekła: „Życie ludzkie
Skladam w twoje wierne dłonie“.
Sługa nakrył się opończą,
Wymamrotał zaklęć słowa
I jak zjawą bezcielesna
Nad dachami poszybował.

Przez powietrze mknąc jak strzała,
Którą łuk napięty miota,
Dotarł w końcu do Kadzeti
I przesliznął się przez wrota.
Niby widmo, bezszelestnie
Obok śpiącej przemknął straży.
Przemysłnego czarodzieja
W grodzie nikt nie zauważył.

Nestan-Daredżan siedziała
W celi ciemnej i ponurej.
Nagle stanął jak duch przed nią
Ów czarodziej czarnoskóry.
Tak szkaradny i kosmaty,
Że dziewica w pierwszej chwili
Pomyślała: „Pewnie demon
Spod zasłony się wychylił“.

Więc z okrzykiem przerażenia
Przytuliła się do ściany.
Lecz on rzekł: „Przybyłem tutaj
Przez przyjaciół twych przysłany.
Z listem od dostojnej Fatmy,
Pani, której wiernie służę,
Więc się nie bój, promienista,
Już nie będziesz cierpieć dłużej“.

Ze wzruszenia drżące dziewczę
List ujęło i pobladło —
Na znajome pismo Fatmy
Wiele łez serdecznych spadło.
„Kimże jest ten witeź młody —
Zapytała cichym głosem —
Czemu on, a nie kto inny,
Tak się zajął moim losem?“

Sługa odparł: „Odkąd, jasna,
Pochwycili cię Kadzowie,
Rozpacz dom nasz ogarnęła —
Rozpacz, której nie wysłowię.
I dopiero gdy przyjaciel
Tarijela przybył do nas,
Odzyskałszy nadzieję,
Że zostaniesz uwolniona“.

„Teraz widzę — rzekła Nestan —
Że i dobro jest na świecie,
Lecz niełatwo mnie uwolnić,
Wyprowadzić z bram Kadzeti.
Bogu niechaj będą dzięki,
Że Tarijel miły żyje!
List do Fatmy zaraz skreślę,
A w nim serce swe odkryję“.

I królewna napisała:
„Fatmo, siostró moja droga!
Uwolniona raz przez ciebie,
Znów o wolność proszę Boga.
Lecz choć pomoc mi przyrzekasz,
W powodzenie jej nie wierzę,
Bo mej baszty dniem i nocą
Sześć tysięcy wojska strzeże.

Cóż więc mogę odpowiedzieć
Na łaskawe twoje słowa?
Dułarducht już wyjechała,
Z nią kadzeckich wojsk połowa.
Lecz załoga pozostała
Jest tak dobrze uzbrojona,
Że na świecie nie ma siły,
Co by mogła ją pokonać.

Niech więc witeź mój kochany
Wojny wszczynać nie próbuje,
Bo jeżeli padnie w boju,
Mnie podwójną śmierć zgotuje.
Napisz list do niego, Fatmo.
Niech nie płacze nad mym losem.
Wierna memu ślubowaniu,
Każdy cios spokojnie zniosę.

A na dowód mej tęsknoty
I miłości niezmierzonej
W liście słę Tarijelowi
Mały skrawek mej zasłony.
Tę zasłonę u Chatawów
Zdobyl miły mój i ona,
Jak nieszczęsny los mój czarna,
Kryje twarz mą i ramiona“.



Zakończywszy list do Fatmy,
Do miłego Nestan pisze.
Łzy strumieniem z oczu płyną
I westchnienia mącą ciszę.
Ale dłoń jej śnieżnobiała
Nieustannie piórem wodzi,
Oto list, co w każdym sercu
Kochającym wzbudzi podziw.

„Miły mój! W zamczysku mrocznym
Uwięziona do tej pory,
List do ciebie piszę piórem
Zanurzonym w żółé i gorycz.
List ten wszystko ci wyjaśni,
Twoje serce zbliży do mnie.
Jakże trudno jest w więzieniu
O wolności dniach zapomnieć.

Nie wiedziałam, czy zginąłeś,
Czy też żyjesz. Po rozłące
Oczom moim łez zabrakło —
Dni się wlokły jak miesiące
I dopiero list od Fatmy
Dziś mój lęk okropny przemógł.
Za pomyślną wieść o tobie
Chwała Panu Najwyższemu.

To, że żyjesz, mój kochany,
Sercu memu już wystarczy.
Żadnym trudnym przedsięwzięciem
Nie zamierzam cię obarzyć.
Tylko proszę, wspomnij czasem
Biedną córę Farsadana —
Twoją Nestan, uwięzioną
W granitowej baszty ścianach.

Nie potrafię opowiedzieć
O tym wszystkim, co przeżyłam.
Z rąk oprawców w Hulanszaro
Fatmy dłoń mnie uwolniła.
Lecz niedługo trwała radość.
Gdy na koniu mknęłam rączym,
Zbir kadżecki mnie dopędził
I w wir nowych nieszczęść wtrącił.

Snadź za mało niebu jeszcze
Mej niedoli i rozpaczy.
Win, za które strasznie cierpię,
Stwórca nie chce mi przebaczyć.
Uwięziona tu, w Kadżeti,
Widzę z baszty liczne strażę
Czuwające nieustannie
Przed podziemnym korytarzem.

Dzień i noc ich czujne oczy
Strzegą baszty mej podniebnej,
Więc nie zbliżaj się tu, miły,
Nie kuś losu niepotrzebnie.
Jeśli w bitwie śmierć ci zada
Czarodzieja ręka mściwa,
I ja spłonę, jak ta hubka,
Która płonie od krzesiwa.

Tylko nie myśl, mój kochany,
Że z kimś innym los swój związę.
Gdyby siłą chciał mnie zmusić,
Piersz sztyletem przebić zdążę
Albo z okna skoczę w przepaść —
Otchłań skryje mnie bezmierna —
Ale wierną ci zostanę
Ja, com zawsze była wierna.

Korne modły wznies do Boga!
Jeśli ty się za mną wstawisz,
Może Stwórca się zlituje
I z niewoli mnie wybawi.
Może ześle mi tu skrzydła
I pozwoli na nich wzlecieć
Tam, gdzie słońce nad chmurami
Promienisty warkocz plecie.

Lecz bez ciebie nie ma słońca —
Baszta moja w mroku tonie...
Śmierć zatacza nad nią kręgi,
Ciągle myślę tylko o niej.
Przyjdzie czas, gdy do zodiaku
Wzlecisz, by się w Lwa zamienić.
Wtedy mnie na popiół spali
Żar niebiańskich twych promieni.

Taka śmierć niestraszna dla mnie,
Jeśli duszę oddam tobie,
Jeśli z żarem twej miłości
Na spoczynek legnę w grobie.
Przeszłość ciężko jest wspominać,
Kiedy krwawią świeże rany,
Nie płacz po mnie, Tarijelu,
Taki widać los mi dany.

Lepiej wypraw się do Indii
I jeżeli możesz, błagam,
Wesprzyj mieczem mego ojca,
Co się z wrogiem w bojach zмага.
Pomóż mu i okaż znowu
Dzielność, męstwo swe niezłomne,
Ja cię, miły mój, przenigdy
Aż do śmierci nie zapomnę.

Տըլ ցի ստրէքէք մեյ շաճոն —
Եակէ սկոմնոյ ճար միճոսնոյ.
Ելլէ տիլկո մի շոճալօ
Զ տրաոցնոյ ճնի ճոճոսնոյ.
Եիաճա մի! Նաճիւլլէ ցալօ
Եեզլիտոսնոյ ճոս քոքրեալ.
Գնիւ ճոյն ու ճոս օբրօցիլօ
Տիեճոմ վաճոչնոյ ճնալէ Զ ճեաճա“.

Զաքոճոչիւ ճնիլ, ճնիււա
Տկրիլօ ու ճոս շաճոն սկրաւէք
Ի քո ճնիլի գոնիւ քոմքնալ
Քրէշ սկլէբիոնոյ ճնուր կուրշաւլլ.
Օտօ ճէճ յոյճ ու Խալանշարօ.
Յիւլլէճ Յիա գօ ու քոքո,
Լիստ քրէշիտալ ճոս Յրշոնոյ
Կօրնէ ճնիլէ կոչիլլ Եոգոյ.

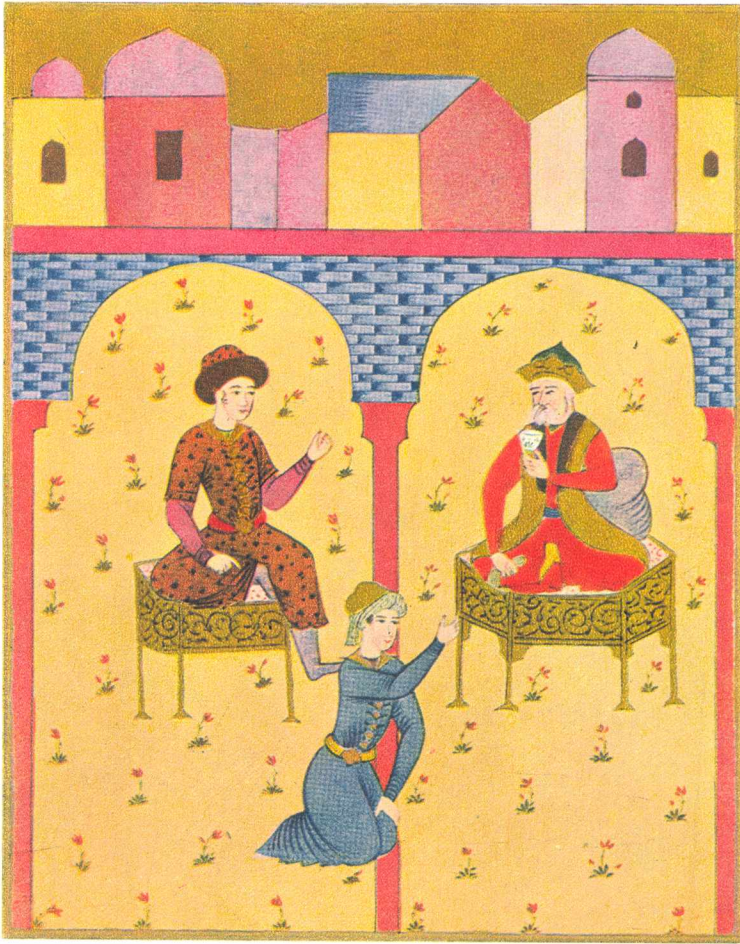
Քօտէմ ճնիլալ: „Բատմօ ճրօգա,
Քնիլ ուճճնիւլլէճ ճիլ Զ ճնիլոսկօ,
Քօճ ճրօբիլօ? ճնիլէ քօբի
Կրէշ տալոչիլլ մեյ յոյճ ճլիսկօ.
Եոյճրօ Զ տօբօ ճիլ ճոս ճէճ,
Լէճն ու ճնիլ միճոս ճնալ Յիւլլ,
Ա Յրշոնէճ ու ճոս Կաճնիլ
Զ քրաթէմ ճոս ու ճնիլլէմ“.

„Լւիւ — օճքարլօ ու ճոս Բատմօ —
Կիեճ ճոս ճրէշ ճոս տալ ճոս ճէճ
Քալօ ու ճնալկօ, ճիւլլ, ճոս ճոս ճոս
Եճնիլէ Զ տօբօ մի ճիլ ճոս ճէճ.
Ալլէ ճէճն ճոս գրօճ Կաճնիլ
Քրէճո կօճոբիլլ ճիլ ճոս ճէճ.
Նիւլլէ ճոս ճոս ճոս ճնալ ճնիլ
Զաճնիլ ճոս ճոս ճոս կարօ“.

Tu pożegnał witeź Fatmę,
Wezwał sługi — dar Fridona —
I rzekł do nich: „Przyjaciele,
Służba wasza już skończona.
Wiemy, gdzie królowny szukać,
I jeżeli Bóg pozwoli,
To zniszczywszy wrazą twierdzę
Wybawimy ją z niewoli.

Więc wracajcie i przekażcie
Moje słowa Fridonowi.
Niech wraz z wojskiem do wyprawy
Na Kadżeti się gotowi.
Ja zaś z bratem Tarijelem
Wkrótce zjawię się u niego
I ruszymy wtedy razem
Ku skalistym, wrogim brzegom,

Wy za służbę weźcie w darze
To, com zdobył u piratów:
Zwoje tkanin drogocennych,
Skrzynię pereł i dukatów.
Za odwagę i wytrwałość
Niezbyt szczodra to nagroda.
Więc gdy wrócę do Fridona,
Złota wór każdemu dodam“.



O TYM, JAK AWTANDIŁ
WRÓCIŁ DO PIECZARY



Minał rok, nadeszła wiosna —
Czas kwitnienia wonnej róży.
Witeź, morze przepłynawszy,
Ciągłe jeszcze był w podróży.
I choć słońce z nieba stropu
Rozlewało blask świetlany,
Widział w różach purpurowych
Kolor krwi i świeżej rany.

Grzmiały burze. Parne noce.
Perły ros na krzewach kładły.
Witeź, róży kwiat podnosząc
Do spieczonych warg poblądłych,
Szeptał smutnym głosem: „Róžo,
Ty miłości czystej kwiecie,
Rozłączony z Tinatiną,
Jak cień błąkam się po świecie“.

Mknął Awtandił dolinami,
Po pustyniach błdził skwarnych
I niemało zwierza w drodze
Zwalił jego cios mocarny.
Nieszczęsnego Tarijela
Wspominając, gorzko płakał...
Wreszcie dotarł do pieczary
I strudzony zsiadł z rumaka.

Niedaleko od jaskini
W bujnym gąszczu trzciny zielonych
Tarijel nad lwem zabitym
Dumał z mieczem obnażonym.
Miecz ten w rękę bohatera
Miotał wokół krwawe błyski.
Rżenie konia niespokojne
Dobiegało z łąk pobliskich.

Przywitali się witezie.
Uścisk złączył ich jak braci.
„Oczekuję cię tak długo,
Żem nadzieję już utracił,
Uroniłem łez niemało,
Awtandile, z twej przyczyny,
Lecz odżyłem widząc ciebie,
Wierny druha mój jedyny!“

Wódz Awtańdił rzekł z uśmiechem:
„Nie wylewać więcej łez ci!
O wybranej twojej Nestan
Z Hulanszaro wiozę wieści.
Gdy usłyszysz je, twój smutek
Wnet się w radość wielką zmieni.
Różę, którą żar zabija,
Deszcz na nowo zazieleni“.

Tarijel przeczytał pismo.
Widząc skrawek jej zasłony,
Zbladł i runął na murawę
Jak piorunem porażony.
Wódz Awtańdił zaniemówił —
Słowa w gardle mu zamarły,
Gdy powieki Tarijela
Straże czarnych rżęs zawarły.

Wódz pochylił się nad druhem
I załamał nad nim dłonie.
„Biada mnie, głupcowi, chciałem
Zbyt pochopnie zgasić płomień!
Wielka radość niespodziana
Złym lekarzem jest dla serca,
Zamiast dać mu ukojenie,
Swą nagłością je uśmierca“.

I lwiej krwi zaczerpnął dłonią,
I witezia pierś nią spryskał.
Drgnął Tarijel, uniósł głowę
I przytomność wnet odzyskał.
Znowu strażę rzęs posłuszne
Osloniły jego oczy,
Których blask słoneczną jasność
Na wierzchołkach gór roztoczył.

Zima zrywa płatki róży —
Letni żar jej listki spala,
W zimie mróz, a w lecie susza
Kwitnąć róży nie pozwala.
Tak i z ludzkim bywa sercem
— Snadź już taka wola boża —
Czasem radość, to znów rozpacz
Wiedzie serce na bezdroża.

Tarijel lży gorzkie roniąc
Zaczął czytać list od nowa.
„Czemu płaczesz? — wódz zapytał. —
Przecież w listu tego słowach
Oprócz smutku jest nadzieja,
Która w sercu radość nieci,
Więc się nie trap, jutro rano
Wyruszamy do Kadzeti“.

Nowy duch w witezia wstąpił.
Ukrywając list, zawołał:
„Twey dobroci odwzajemnić
Aż do śmierci ja nie zdołam!
Na kwiat zwiędły i omdlały
Tyś ożywczą opadł rosą.
Dzięki tobie, przyjacielu,
Chwała Panu i Niebiosom!“

I ruszyli ku pieczarze,
Nucąc w marszu pieśń wesolą.
Asmat z dała ich ujrzawszy
Nachmurzyła śnieżne czoło
I ze strachu aż pobladła,
Bo ten, który lzy wylewał,
Odjeżdżając przed godziną,
Teraz pieśń jak słowik śpiewa.

Już od zmysłów odchodziła,
Gdy witezie zawołali:
„Słuchaj, Asmat, Pan Najwyższy
Nestan-Daredżan ocalił!
Odnaleźliśmy królownę.
Oto list przysłany do nas.
Gdy przeczytasz go, na pewno
Sama o tym się przekonasz“.

Zobaczywszy znane pismo
Ukochanej swojej pani,
Asmat jęk wydała głuchy,
Jakby grot jej serce zranił.
I zwróciwszy twarz do nieba,
Rzekła: „Czyżby wyrok boży
Miał okrutnym naszym męgom
Ostateczny kres położyć?“

I do piersi Tarijela
Płacząc twarz swą przytuliła.
Witeź modły wznosił dziękczynne,
Potem powiódł Awtandila
W głąb pieczary, gdzie wieczerzę
Skromną im podała Asmat.
Posilili się witezie
Siedząc w krwawych ognia blaskach.

Tarijel do druha szepnął:
„Jest opowieść bardzo stara,
Że żyjące tutaj strzygi
Miały skarbee w tych pieczarach.
Przejeżdżając przez dolinę,
Zmogłem w boju dziwne stwory
I choć mieszkam tu, ich skarbów
Nie ruszyłem do tej pory.

Nie wiem, jakie tajemnice
Kryją mroczne korytarze,
Ale teraz chcę zobaczyć,
Co nam los przyniesie w darze“.
I objąwszy Awtandila
Poszedł z nim wzdłuż mrocznej ściany,
Otwierając w drodze odrzwia
Do czterdziestu sal nieznaných.

Sale te, wykute w skałach,
Mnóstwo bogactw wypełniało.
Blask rubinów i diamentów
Opromieniał każdy załom.
Ścian, przy których aż pod stropy
Cudnych pereł stos się piętrzył,
Wielkich jak dziecięce piłki
I topazów jeszcze większych.

Wreszcie w mroku odnaleźli
Do zbrojowni drzwi ukryte,
Lśniły w niej nagromadzone
Różne zbroje znakomite,
A pośrodku tej zbrojowni
Widać było już z daleka
Skrzynię, której trzy pieczęcie
Kowanego strzegły wieka.

Na tym wieku widniał napis:
„Tu ukryte w płótna zwojach
Trzy basryjskie miecze leżą,
A przy każdym mieczu zbroja.
Gdy Kadzowie nas napadną,
Straszną klęskę muszą ponieść,
Bo ich króla zgładzi witeź
Trzymający ten miecz w dłoni“.

Tarijel uchylił wieko.
Buchnął z głębi blask świetlany —
Lśniąca broń jak błyskawica
Rozjaśniła mroczne ściany.
Były tam trzy ostre miecze
I prócz strzał pierzastych, długich,
Helmy trzy, trzy lite tarcze
I stalowe trzy kolczugi.

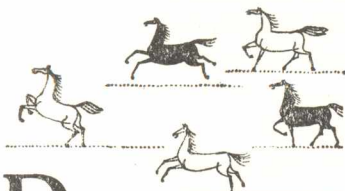
Gdy witezie wdzieli zbroje
I na próbę zwarli miecze,
Przekonali się, że broń ta
Nawet stal bez trudu siecze.
Lecz szyszaków, pod którymi
Mieli ukryć swoje czoła,
Cios najtęższy nie rozplątał
Ni wyszczerbić ich nie zdołał.



„Dobry znak to! — zawołali. —
Żaden wróg nas nie pokona!“
Wzięli zbroje dwie dla siebie,
Trzecią zbroję dla Fridona.
Zaczerpnęli w garść klejnotów
I zamknąwszy skarbów dźwierze,
Do pieczary powrócili,
By dokończyć w niej wieczerzy.

Tu odmaluj mi, malarzu,
Promieniste dwie postacie
Tych witezi godnych chwały,
Chrobrych wojów, wiernych braci.
Zbliża się już bój wyroczny,
Co lęk w sercach wrogów wznieci,
Kiedy miecze bohaterów
Gromem spadną na Kadzeti.

O TYM, JAK WITEZIE
WYRUSZYLI DO NURADIN-FRIDONA



Dnia drugiego przyjaciele,
Wziąwszy z sobą wierną Asmat,
Wyruszyli o świtaniu
Poprzez gór podniebnych pasma.
Chociaż droga była trudna,
Nie szczydzili rączych koni
I wieczorem gród Fridona
Przed ich wzrokiem się wyłonił.

Obok grodu piękny tabun
Przez pastwiska biegł zielone.
Rzekł Tarijel: „Awtandile,
Podroczymy się z Fridonem!
Napadnijmy na to stado,
Wtedy Fridon się rozzłości
I ukarać pragnąc śmiałków,
Zamiast zbójców ujrzy gości“.

Oto mkną już przyjaciele
Wprost na tabun po rozłogach.
Choć pasterzy na ich widok
Ogarnęła nagła trwoga,
Zawołali: „Hej wy, ludzie!
Idźcie precz od tego stada!
Kto Fridona konie ruszy,
Głowę za ten czyn postrada!“

Lecz witezie wznosząc łuki
Nie przestali stada gonić.
Targnął niebem krzyk pastuchów
Pomieszany z rzeniem koni
I po chwili przez równinę,
Którą z wolna mrok pokrywał,
Przyjechała z grodu odsiecz
Dzierząc żagwie i łuczywa.

I król Fridon lotem strzały
Na rumaku przygnał chyżym.
Tarijel zatrzymał konia,
A gdy władca się przybliżył,
Witeż ściągnął helm bojowy
I zawołał: „Nie przystoi
Utrudzonych witać gości
Z mieczem w ręku, w pełnej zbroi!

Snadź niemało rozbójników
Napaściami gród ten nęka,
Jeśli nawet i przyjaciół
Jego władca też się lęka“.
Kiedy Fridon poznał gości
I uściskiem ich ogarnął,
Krzyk radosny strzelił w niebo,
Rozkołysał cizbę gwarną.

Młody władca rzekł z uśmiechem:
„Czas tracie na igraszki,
A jam wojska już uzbroił
I o sprawach myślę ważkich“.
Potem powiódł ich do grodu.
Gdy jechali przez ulice,
Uśmiechnięte twarze jeźdźców
Promieniały jak księżyce.

Weszli wreszcie do pałacu,
Wprowadzeni przez Fridona,
I zasiedli druh przy druhu
Na trzech szczerozłotych tronach.
Tam przed władcą Nuradinem
Rozłożyli dary swoje:
Miecz basryjski obosieczny
I zabraną strygom zbroję.

Po wspaniałej, hucznej uczcie,
Wypoczynku i kąpieli,
Wdzięczny Fridon klejnotami
Wiernych druhów swych obdzielił.
A gdy gości sen pokrzepił,
Idąc mądrych królów śladem,
Tak rzekł do nich: „Przyjaciele,
Chcę was prosić na naradę.

Choćbym przez to miał naruszyć
Gościnności obyczaje,
Gościnności, która pełną
Wam swobodę działań daje,
Powiem jasno: pora w drogę,
Bo gdy wrócą z mórz Kadzowie,
Trudno będzie zdobyć twierdzę
Obsadzoną wojska mrowiem.

Podróżując w młodych latach,
Byłem kiedyś i w Kadzeti.
Ta warownia jest bezsprzecznie
Najsławniejszą twierdzą w świecie.
Toteż wiem, że nie przemocą
Można wziąć ją, lecz fortelem,
I dlatego na wyprawę
Radzę zabrać wojsk niewiele“.

Gdy usłyszał mądry Fridon
Z ust przyjaciół słowa zgody,
Trzystu jeźdźców dobrał zbrojnych,
Wojowników chrobrych, młodych
I nazajutrz krocząc z braćmi
Wzdłuż szeregów wiernych dworzan,
Ku galerom się skierował
Po piaszczystym brzegu morza.

Przepłynęli mórz odmęty
I dosiadłszy koni rączych,
Dniem i nocą tam pędzili,
Gdzie się step z górami łączy.
Blisko była już granica,
Kiedy Fridon sięgnął wodze
I zawołał: „Niebezpiecznie
Po odkrytej jechać drodze!

W dzień będziemy kryć się w jarach,
Nocą zaś ostrożnie kroczyć,
Pilnie bacząc, by nas w marszu
Napad wroga nie zaskoczył“.
Od tej pory szli nocami,
Osiodłane wiodąc konie,
Aż ujrzeli zarys twierdzy
Na pochmurnym nieboskłonie.

Gdy podeszli bliżej, księżyc
Całą twierdzę blaskiem zalał
I tysiące zbrojnych hufców
Widać było nawet z dala.
Z boku zaś czerniała baszta
U podstawy skałą wsparta.
Wokół niej miarowym krokiem,
Dzierżąc broń, krążyła warta.

ZDOBYCIE KADŻETI



Rzekł król Fridon: „Przyjaciele!
 Jedną tylko mam obawę,
 Że szturmując gród Kadżeti
 Poniesiemy straty krwawe.
 Nie pomoże nam odwaga
 Ani waleczności cuda,
 W ciągu stu lat żadnej bramy
 Szturmem zdobyć się nie uda.

Już w dzieciństwie, kształcąc zręczność,
 Akrobacje uprawiałem,
 Różnych sztuczek karkołomnych
 Wyuczałem się z zapalem.
 Dziś po linie nad przepaścią
 Stawiam szybkie, pewne kroki,
 Przeskakiwać umiem fosy,
 Fraszką dla mnie mur wysoki.

Jeśli kto na występ baszty
 Arkan mój zarzucić zdoła,
 Ja do twierdzy po nim wejde.
 Siejąc grozę dookoła,
 Wichrem zwałę się na wrogów,
 A gdy Bóg mi dopomoże,
 Mieczem drogę oczyszczając
 Wrota grodu wam otworzę!“

Na to odparł mu Awtandil:
„Jesteś wodzem doskonałym.
Znamy twoją lwią odwagę,
Niepotrzebne ci pochwały.
Dajesz zawsze cenne rady,
Zasług twoich nikt nie zliczy,
Ale spójrz, pod samą basztą
Krążą czujni wartownicy.

Szybko ciebie zauważą —
Nim usiądziesz im na karkach,
Oni słysząc brzęk twojej zbroi,
W mgnieniu oka przetną arkan.
Nic dobrego to nie wróży,
Bo w tym hazard jest zbyt czyny.
Trzeba więc wynaleźć sposób
Znacznie prostszy i bezpieczny.

A jest sposób bezpieczniejszy.
Posłuchajcie rady mojej:
Pod szatami kupieckimi
Łatwo ukryć miecz i zbroję.
Poganiając witką muła,
Niosącego juk z bagażem,
Przez otwarte wejście wrota
I spokojnie minę strażę.

A tymczasem oddział wojska
Z wami niech ku wrotom jedzie.
Jeśli mnie w przebraniu kupca
Wszystko dobrze się powiedzie,
To ze strażą oszukaną
Łatwo dam już sobie radę.
A wy przez otwartą bramę
Podążycie moim śladem“.

Tarijel rzekł na to: „Bracia,
Sami chcecie walczyć śmiało,
Ale wtedy w tej rozprawie
Cóż by dla mnie pozostało?!
Niech królowna z okna baszty
Wszystkich w boju nas zobaczy,
Widząc, że nie ja was wiodę,
Chyba zmarłaby z rozpaczy.

Moja rada będzie lepsza.
Na niewielkie trzy oddziały,
Po stu jeźdźców dla każdego,
Podzielimy hufiec cały.
A gdy pierwszy promień świtu
Na kadzeczkiej błysnie wieży,
Każdy z nas na inną bramę
Niech oddziałem swym uderzy.

Widząc nasze skromne siły,
Wróg się rzuci na spotkanie
I przed bramą nie strzeżoną
Pójdzie z nami w krwawy taniec.
Jeśli który by z nas zdążył
Odciać go i wpaść przez wrota,
Niech pokaże wrażym siłom,
Czym wojenna jest robota“.

Tu król Fridon rzekł z uśmiechem:
„Zrozumiałem cię dokładnie.
Ty masz konia Meraniego
I on pierwszy wrót dopadnie.
Gdybym wiedział o tym wcześniej
I nie oddał ci rumaka,
Teraz ja bym cię wyprzedził,
A ty z żalu byś zapłakał“.

Śmiech wybuchnął po tych słowach
I witezie już po chwili
Oddział swoich wojowników
Na trzy części podzielili.
Noc stoczyła się z niebiosów
I za sobą mrok powiodła,
Gdy bojowe wdziawszy hełmy
Poprawili się na siodłach.

Jam ich widział, tych witeziów,
Bohaterów promienistych.
Z siedmiu planet na ich twarzy
Padał wtedy blask świetlisty.
Niespokojnie gryzł wędzidło
Tarijela rumak wrony,
Kopytami grzebiąc ziemię
W bramę grodu zapatrzoney.

Tych witezi chcę porównać
Do potoku, co z gór spada,
Z rykiem płynąc po wąwozach,
Co w kipiących wodospadach
Miażdży głaz na ziarna piasku,
Granitowe skały ściera
I dopiero wtedy cichnie,
Kiedy morze go zabiera.

Wódz Awtandił i Nuradin
Uchodzili za mocarzy.
Z Tarijelem pójść w zawody
Żaden by się nie odważył...
Oto świt. Pogasły gwiazdy,
Mgła zawisła nad doliną.
Tarijel się unióś w siodle
I na druhów dłonią skinął.

Jak wędrowcy utrudzeni
Podążyli wprost pod mury.
Straż przy wrotach ze spokojem
Spoglądała na nich z góry.
Nagle jeźdźcy błyskawicą
Wśród bojowych, gromkich krzyków
Na Kadżeti uderzyli
Siłą trzystu wojowników.

Drgnęła twierdza, gdy na trwozę
Z murów się ozwały kotły.
Miecze druhów pierwsze strażę
W mgnieniu oka z drogi zmiotły.
Zanim niebo nad warownią
Oświeciła ranna zorza,
Już przed każdą z trzech bram grodu
Ostateczny bój rozgorzał.

Stwórca wydał na Kadżeti
Wyrok kłeski i zagłady.
Gniewny Chronos, patrząc z nieba,
Przeklął gród ten. Padł strach błady
Na strażników, co w popłochu
Wycofali się za mury.
Wokół bram, w kurzawie bitwy,
Ciał poległych rosły góry.

Każdy okrzyk Tarijela
Lęk i trwoję wokół szerzył.
Witeź mieczem ciał w kawałki
Setki kolczug i pancerzy.
Oblężone wrota grodu
Straż w popłochu porzuciła.
Bracia wdarli się do środka,
Nowa siła w nich wstąpiła.

Witeź Fridon krwią zbryzgany
Awtandiła ujrzał w dali.
Uścisk złączył ich serdeczny,
Gdy do siebie podjechali.
Wróg uciekał rozproszony,
Drogi gęsto trup zaścielał,
Ale żaden z nich nie dojrzał
Walczącego Tarijela.

Poszukując wszędzie druha,
Gnani strasznym niepokojem,
Popędzili pod te wrota,
Gdzie wiódł witeź wojska swoje.
Zobaczyli żniwo śmierci!
Witeź snadź nie tracił czasu.
Wrota legły wyważone —
To on wyrwał je z zawiasów.

Dziesięć zgładził tu tysięcy
Wyborowej, przedniej straży.
Tarijel zwycięstwa szalę
Własnym męstwem swym przeważył.
Stąd pobiegli przyjaciele
Przez podziemia w inną stronę,
Wprost do baszty skierowali
Kroki walką utrudzone.

Gdy na światło wyszli z mroku,
Targnął niebem krzyk wesela.
Na wierzchołku groźnej baszty
Zobaczyli Tarijela.
A więc nadszedł kres tułaczki
I rozłąka już skończona.
Witeź stał z odkrytą głową
Z Nestan-Daredżan w ramionach.



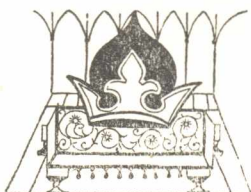
Tak się wita słońce z różą;
Nocą Jowisz ze Saturnem,
Gdy pogodne letnie niebo
Szafirowe i bezchmurne
Dla gwiazd swoich migotliwych
Wspólny blask z tych planet czerpie...
Szczęścia doznać może tylko
Ten, co przeżył wiele cierpień.

Tak się skończył bój wyroczny,
Który braci okrył chwałą.
Z wojsk ich tylko stu czterdziestu
Wojowników ocalało.
Pozostali padli w bitwie
Pod ciosami mieczów wraźych.
Gdy usłyszał o tym Fridon,
Łza spłynęła mu po twarzy.

Zbiegli z baszty trzej witezie.
Uniesieni gniewem srogim,
Resztki wojsk kadzeckich w grodzie
W pień wycięli co do nogi.
Potem trzy tysiące mulów
Zgięło grzbiety pod ciężarem
Skarbów, które do tej pory
Ukrywały lochy stare.

Zostawiwszy w murach twierdzy
Wojowników stu jedynie,
Tarijel umieścił Nestan
W szczerozłotym palankinie.
A nazajutrz rzekł do braci:
„Czas nam w drogę iść powrotną,
Aby Fatmie dzięki złożyć
I nagrodę dać stokrotną!“

WESELE TARIJELA Z NESTAN-DAREDŽAN
WYPRAWIONE PRZEZ KRÓLA
NURADIN-FRIDONA



Do władzyki mórz — Melika
Z takim listem przybył goniec:
„Tarijel, indyjski witeź,
Pragnie tobie się pokłonić
I ze słońcem swym, królowną,
Którą wyrwał z rąk siepaczy,
Wjechać chce do Hulanszaro,
Jeśli mu pozwolić raczysz.

Dzięki Fatmie padła twierdza,
Która była zła ostoją.
Od tej pory więc Kadżeti
Stanie się własnością twoją.
Wyjdź nam, królu, na spotkanie
I Usena przywiedź żonę,
Aby mogła ujrzeć słońce
Z mroków nocy ocalone“.

Król tą wieścią ucieszony
Z Fatmą w drogę się wybiera
Wioząc dary, aby godnie
Móc powitać bohatera.
Po dziesięciu dniach podróży,
W niezbyt wielkiej odległości
Od granicy, jego orszak
Znakomitych spotkał gości.

Fatma widząc cudną Nestan
Pochwyciła ją w ramiona
I szepnęła: „Witaj, słońce!
Znowu radość niesiesz do nas,
Rozstąpiły się ciemności,
Mrok ponury się rozjaśnił,
Przeminęło zło upierne!
Witaj, słońce, i nie gaśnij!“

Odplaciwszy pocałunkiem
Za jej uścisk, Nestan rzekła:
„Bóg zlitował się nade mną
I ocalił mnie od piekła.
On mnie złączył z Tarijelem
I rozproszył nieszczęść burzę.
Znów rozkwitnę pełnią kraszy
Jak w wiosennym słońcu róże“.

W ciągu siedmiu dni, potężny
Władca mórz Melik-Surchawi
Na cześć chobrych wojowników
Siedem hucznych uczt wyprawił.
Potroiwszy szczodrość, gościom
Rozdał tyle cennych darów,
Że nikt z ziemi już nie zbierał
Rozsypanych w krąg talarów.

Tarijela, za Kadzeti,
Obdarował król koroną
Z jednej bryły rubinowej
W dziwny sposób wyrzeźbioną.
Witeż włożył tę koronę
I uśmiechnął się do świty.
Wtedy mu król zachwycony
Oddał tron swój złotolity.

Nestan zaś pod koniec uczyty
Pyszny płaszczem król obdarzył,
Rząd rubinów badachszańskich
Na nim mienił się i jarzył.
Dla przyjaciół Tarijela
Służba konie dwa przywiodła.
Na ich grzbietach wymuskanych
Szczerozłote lśniły siodła.

A gdy nadszedł czas rozstania,
Szloch witeziom gardła zdławił.
Tarijel swój łup kadzecki
Fatmie w darze pozostawił,
Wsiadł na statek z przyjaciółmi,
Znowu Nestan wziął w ramiona
I zawołał: „Nieś nas, wietrze,
Do gościnnych ziem Fridona!“

Zwinny statek lotem strzały
Poniósł druhów poprzez morze.
Gdy wpłynęli do przystani,
Powitali ich wielmoże,
A tłum licznie zgromadzony
Podniósł wrzawę tak radosną,
Że zagłuszył dźwięki rogów
I potężnych bębnów łoskot.

Tego dnia opustoszały
Targi, rynki i bazarzy,
Kupcy kramy porzucając
Szli naprzeciw młodej pary.
I choć drogi do pałacu
Uzbrojone wojsko strzegło,
Mrowie ludu jak spod ziemi
Na królewski plac wyległo.

Tu zwycięzców powitała
Służba w atłas przyodziana.
Narzeczeni sypiąc złotem
Po puszystych szli dywanach
Do pałacu, gdzie rząd kolumn
Jak kamienny las wyrastał.
Wtem po schodach zbiegła do nich,
Płonąc szczęściem, wierna Asmat.

Nestan wzięła ją w objęcia
I wzruszona zawołała:
„Biada mi! Ach, biada, siostró!
Ileż cierpień ci zadalam!
I choć Stwórca mnie wysłuchał
Kładąc kres mej poniewierce,
Czymżeż zdołam się odwdziaczyć
Za twe czule, wierne serce?“

Ocierając lzy gorące,
Wierna Asmat tak odparła:
„Przeminęły chłody — róża
W słońcu płatki swe rozwarła.
Choć wylałam z twej przyczyny
Nieraz wiele łez gorących,
Wiem, że w szczęściu po kres życia
Nikt nie zdoła nas rozłączyć“.

Wkrótce Fridon w swym pałacu
Weselisko huczne sprawił.
Obok tronu Awtandiła
Nowożeńców tron postawił.
Tron pół biały, pół czerwony,
Co się w blasku ogniem mienił.
Jaśniał na nim cudnym wzorem
Osadzony rząd kamieni.

Siadła godnie para młoda.
Chór nie skończył jeszcze pieśni,
Gdy szkatułkę pełną darów
Od Fridona — słudzy wnieśli.
Dziesięć pereł w niej leżało,
Wielkich niby jaja gęsie,
I naszyjnik turkusowy
Przynoszący władcom szczęście.

Był w niej także jakiś kamień
Czarodziejskiej pełen mocy.
Przy nim malarz mógł bez trudu
Namalować portret w nocy.
Niby słońca drobny okruch
Promienistym blaskiem gorzał,
Raził oczy patrzącego
Jak wstająca ranna zorza.

A dla druha, Awtandila,
Kazał Fridon przynieść wazę
Tak ogromną, że ją czterech
Wojowników niosło razem.
Do tej wazy, swym obwodem
Równej tarczy wojownika,
Stos ogromny wielkich pereł
Własnoręcznie król nasypał.

Osiem dni i osiem nocy
Trwały w zamku huczne gody.
Co dzień Fridon nowe dary
Nowożeńcom składał młodym.
Osiem dni dzwoniły harfy
I rozbrzmiewał gwar wesela.
Tak została wreszcie Nestan
Żoną cnego Tarijela.

O TYM, JAK JADĄC DO ARABII
TARIJEL WSTĄPIŁ PO SWOJE SKARBY



Tarijel rzekł do Fridona:
 „Nieraz śmierć mi już groziła.
 Byłbym zginął bez pomocy
 Druha mego, Awtandiła,
 Bo to, czego on dokonał,
 Nie udało się nikomu —
 On odnalazł przecież Nestan.
 Teraz ja mu pragnę pomóc.

Idź do niego i zapytaj:
 Co go boli, co go męczy,
 Czemu w dniach mojego szczęścia
 On się ciężkim smutkiem dręczy?
 Dług u brata zaciągnięty
 Pragnę mu choć w części spłacić,
 Choćbym miał opuścić Nestan,
 Choćbym życie miał utracić.

W każdej chwili do Arabii
 Jestem gotów z nim wyruszyć.
 Jednych słowem ułagodzić,
 Innych wrogów mieczem skruszyć.
 A jeżeli Tinatina
 Nie poślubi mego brata,
 Ja też będę żyć samotnie,
 Na najdalszym krańcu świata“.

Wódz Awtandił rzekł z uśmiechem,
Gdy mu Fridon to powtórzył:
„Tarijel mnie nadaremnie
Chce przynaglić do podróży.
Miła moja czeka wprawdzie,
Bym ją powiódł do ołtarza,
Lecz, na szczęście, jej królestwu
Nic obecnie nie zagraża.

Jeśli Bóg się ulituje
Nad posłusznym mu tułaczem,
Przyjdzie czas, że ukochaną
Tinatinę znów zobaczę.
Wtedy albo jasność serce
Opromieni i ogrzeje,
Albo w mroku pograżony
Stracę wiarę i nadzieję.

Lecz dziś pragnę tylko tego,
By w szkarłatach i koronie
Tarijel w stolicy Indii
Na królewskim zasiadł tronie
Obok tej, co swą urodą
Siedmiu planet blask przyćmiła.
Na to trzeba zniszczyć wrogów —
To pragnienie Awtandiła!

A gdy w boju ostatecznym
Zgotujemy im zagładę,
Do rodzinnej mojej ziemi,
Do najdroższej swej pojedę.
Może wtedy moja miła
Przyjmie mnie jak bohatera...
A do tego czasu miecz mój
Tarijela będzie wspierał“.

Gdy Tarijelowi Fridon
Słowa te powtórzył wiernie,
Tarijel rzekł: „Ja usunę
Tkwiące w sercu brata ciernie!
Jak Awtandił umiał znaleźć
Dla mnie do mej miłej droge,
Tak i ja mu z Tinatiną
Serce złączyć dopomogę.

Jutro zatem do Arabii
Wyruszymy razem z żoną.
Gdy Rostewan mi daruje
Krzywdę niegdyś wyrządzoną,
Wtedy będę błagał króla,
By przebaczył druha winy
I w nagrodę za wytrwałość
Dał mu rękę Tinatiny“.

I ruszyli wkrótce bracia
Do krainy Rostewana.
Razem z nimi, dniem i nocą,
Szła ogromna karawana.
A na przedzie — cudną Nestan
Nieśli słudzy przez pustynię
Niby rubin badachszański
W szczerozłotym palankinie.

I zdawało się tym wszystkim,
Co widzieli ich z oddali,
Że księżycy trzy i słońce
Na swej drodze napotkali.
Niestrudzenie karawana
Po bezdrożach szła dni wiele,
Wreszcie w górach, przed pieczarą,
Zsiedli z koni przyjaciele.

Tarijel zawołał: „Tutaj
Żyjąc z dala od ojczyzny
Zgromadziłem spory zapas
Ryb wędzonych i dziczyzny!
Zaraz Asmat nas ugości.
Nie będziemy z marszem zwlekać,
Bo do kraju Rostewana
Droga ciężka i daleka“.

Pokrzepili się wędrowcy,
Na ogromnych siedząc głazach.
Tarijel ich powiódł potem,
By strzyg skarbiec im pokazać.
A gdy zeszli do podziemi,
Pootwierał drzwi na oścież
I skarbami bezcennymi
Obdarował drogich gości.

Wojowników Fridonowych
Do największej z sal przywołał
I rozkazał nabrać bogactw,
Ile każdy unieść zdoła.
Wyszli woje z mrocznej sali,
Pod ciężarem każdy zgięty —
Mimo to olbrzymi skarbiec
Wciąż wyglądał jak nietknięty.

„Ciągle jestem twym dłużnikiem —
Tarijel rzekł do Fridona —
A że każda z cnót powinna
Być stokrotnie nagrodzona,
Te bogactwa nieprzebrane
Tobie, druhu, składam w darze.
Każ je przewieźć, niech wzbogacą
Skarbiec twój w Mulhazanarze“.

Fridon zgiąwszy się w ukłonie
Szepnął tak do towarzysza:
„Przeceniając me zasługi,
Zbyt nad innych mnie wywyższasz.
Mnie do szczęścia to wystarcza,
Że jedziemy ramię w ramię,
Żeś jest mocny tak, iż dęby
Niby kruche trzciny łamiesz“.

Skarb Fridona na wielbłądach
Powędrował do stolicy.
Oni zaś ruszyli w drogę
Ku arabskich ziem granicy.
Tu wstrzymali przyjaciele
O świtaniu ręce konie,
Tu Arabów tłum ich witał,
Kornie chyląc się w ukłonie.

O przybyciu bohaterów
Do stolicy doszły słuchy.
Gwar zaszumiał na ulicach,
Bębnów głos się rozległ głuchy.
Twarz królowej Tinatiny
Blask słoneczny opromienił
I na lica rubinowe
Z rzęs opadły strzały cieni.

Słudzy jęli siodłać konie
I po chwili poprzez wrota
Wysypały się szeregi
Wojska — jeźdźcy i piechota.
A na przedzie, baldachimem
Przed słonecznym żarem skryty,
Jechał stary król Rostewan
W otoczeniu pysznej świty.

Gdy Awtandił już z oddali
Dostrzegł pyłu chmurę ciemną,
Rzekł do druha: „Tarijelu,
Błagam, zlituj się nade mną.
Nie mam sił przed królem stanąć,
Wstyd mi ogniem serce pali,
Pozwól mi tu rozbić namiot,
Ty z Fridonem ruszaj dalej“.

Tarijel zostawił Nestan
Pod opieką Awtandiła
I gdy służba na murawie
Lekki namiot im rozbiła,
Pożegnawszy pocałunkiem
Ukochaną swoją żonę,
Złączył się z oddziałem wojska,
Który jechał za Fridonem.

Gdy witezie zsiedli z koni,
A wraz z nimi cała świta,
Król Rostewan ich powitał
Tak, jak ojciec synów wita.
Władca objął Tarijela
I do piersi go przygarnął
Podziwiając jego postać
Piękną, smukłą i mocarną.

Przywitawszy się z Fridonem,
Król rozejrzał się wokół
I nie widząc Awtandiła
Zasepione zmarszczył czoło.
Tarijel rzekł wtedy: „Królu,
Wódz twój roni łzy rozpaczy
I w pobliżu czeka kornie,
Abyś raczył mu przebaczyć“.

Siedli goście na dywanie
Pod drzewami rozłożonym.
Tarijela oczy w cieniu
Blask rzucały, gdy wpatrzony
W króla, rzekł: „Nadzieją błoga
Dobroć twoja mnie napawa,
Chociaż wiem, że prosić ciebie
O nic, władco, nie mam prawa.

Jednak powiem to, co czuję,
O co błagać się ośmielam:
Ratuj, panie, Awtandila,
Najdroższego przyjaciela.
On jak balsam był cudowny,
On od śmierci mnie ocalił.
Teraz sam umiera w mękach —
Płomień serce jego pali.

Z twoją córką ślubowaniem
Jest złączony od lat paru.
Nad miłością ich się uzał,
Nieszczęsnemu winy daruj!
Kornie chylę się przed tobą
I na wszystko cię zaklinam,
Pozwól, władco, niech zaślubi
Awtandila Tinatina.

Więcej prosić cię nie będę,
Choćbym miał stąd odejść z niczym.
Patrz — na szyi chustkę wiążę,
Znak pokory niewolniczej.
Na twarz padam przed władyką,
Przed potężnym Rostewanem“.
Tu jęk wybiegł z piersi wojów
I szmer obiegił karawanę.

I zasępił się Rostewan,
I zawołał: „Wielki Boże!
Jakżeż ty, monarcha Indii,
Korzyć się przede mną możesz?
Żeby prośbie twej odmówić,
Trzeba by mieć piekła siłę.
I ja cenię Awtandiła,
I ja też go polubiłem.

Już nie rządę swym królestwem.
Córka teraz państwem włada.
Młody kwiat wspaniale kwitnie,
Stary więdnie i opada.
Jakżeż mógłbym swym wyrokiem
Ukochaną córę gubić?
Pokochała Awtandiła,
Więc gdy chce, niech go poślubi“.

Pomknął Fridon do namiotu
I powrócił szybko z wodzem.
Twarz Awtandił swą zasłonił
I zatrzymał się na drodze —
Tak ze słońcem bywa nieraz,
Gdy je schowa mgła jesienna,
Choć uroda tej planety
Pozostaje wciąż niezmienna.

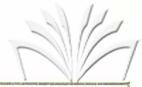
Lecz król porwał go w objęcia,
Ucałował i zawołał:
„Zdjąć żaloby z mego serca
Nikt prócz ciebie by nie zdołał!
Lwie, do słońca teraz jedźmy!
Każdej szkoda mi godziny.
Niech się lud zabawi z nami
Na weselu Tinatiny“.

I na znak przez króla dany
Na rumakach pojechali
Do namiotu, co na stepie
Niby żagiel widniał w dali.
Gdy król spojrział w oczy Nestan,
Podziw wielki go ogarnął.
Nie na darmo walczył witeź
I lzy ronił nie na darmo.

„Słońce — szepnął zachwycony —
Słońce z niczym nie zrównane,
Bo z czym można cię porównać,
Najcudniejsza z wszystkich planet?
Tyś jest słońcem i księżycem,
W twoim blasku oczy mrużę,
Kiedy patrzę na twą postać,
Nie chcę patrzeć już na róże!“

I z małżonką Tarijela
Wyruszyli już bez zwłoki
Do pałacu Rostewana,
Co wieżami bódł obłoki.
Pierwsze gwiazdy zapłonęły
Na wieczornym niebie sinym
I błyszczały jak stęsknione
Oczy cudnej Tinatiny.





OPOWIEŚĆ TRZYDZIESTA

WESELE AWTANDILA I TINATINY
WYPRAWIONE PRZEZ KRÓLA ARABII



Wódz Awtandił z Tinatiną
Na wysokich siedli tronach.
Słońce ognie zapaliło
W rubinowych ich koronach.
Wypełniwszy ślubowanie
Lew odzyskał dawne siły
I radością upojony
Patrzył w oczy swojej milej.

Błogosławił ich Rostewan:
„Niech wam sprzyja boża łaska,
Byście mogli długie lata
Władać państwem w sławy blaskach.
Mego życia kres się zbliża,
Na to nie ma nikt sposobu.
Niech po śmierci wasze ręce
Złożą ciało me do grobu“.

I wskazując Awtandiła,
Tak do swojej rzekł drużyny:
„Oto król wasz. Z woli bożej
Mąż królowej Tinatiny.
Gdy do boju was powiedzie,
Wojsk nie spotka żadna strata.
Jemu teraz służcie wiernie
Tak, jak mnie, przez długie lata“.

Odkrzyknęli woje chórem:
„Niech się dzieje wola nieba!“
I usiedli. Słudzy wnieśli
Na stół góry mięsa, chleba —
Bo nie skąpił król Rostewan
Na przyjęcie krów ni wołów.
A o świcie z cennym darem
Każdy z wojów wstał od stołu.

W chryzolitach rżnięte czary
I granaty, i kryształy,
I kielichy rubinowe
Ucztujących radowały.
Ze stu fontann tryskające
Stare wino goście pili.
Grzmiały harfy i cymbały,
Gdy królowie się bawilli.

Szaty wojów purpurowe,
Suknie niewiast — śnieżna biel,
Druzbą króla Awtandila
Jest król Indii — Tarijel.
Mija noc, a czarki dzwonią,
Choć do sal zagląda ranek.
Świat kołysze się w kryształach.
Lśnią się perły rozsypane.

Do witezia Tarijela
Rzekł Rostewan, wznosząc kielich:
„Wielkim szczęściem jest, monarcho,
Współ z tobą radość dzielić.
Nie ma w świecie równych tobie
Ani równych twojej żonie,
Więc i wyżej nad innymi
Siąść powinniście na tronie“.

Po tych słowach wniosła służba
Trony dwa na podwyższenie.
Rozsypała wokół pary
Cenne perły i kamienie.
Dał Rostewan gościom z Indii
Tyle skarbów w złotych misach,
Że dziesiątej nawet części
Nie potrafilbym opisać.

Dzieciom swoim dał diamentów
Osiemset jak jaja kurze.
Tysiąc pereł — każda perła
Równa była śliwce dużej.
I do tego tabun koni
O niezwykle lśniącej sierści,
Konie, które w pełnym biegu
Wyginały szyje w pierścień.

Fridonowi podarował
Dziewięć naczyń pełnych pereł.
Oprócz tego stare berło
Najcenniejsze z wszystkich berła.
Dał mu także dziewięć koni,
Każdy czarny był jak smoła.
Wytrzymały w biegu, śmigły
I lotniejszy od sokola.

Cóż wam jeszcze opowiedzieć
O niezwykłym tym weselu?
Takich wesel już na świecie
Nie ma nigdzie od lat wielu.
Dni trzydzieści trwały uczy,
Które w pieśni tej opiewam.
Takie sprawił weselisko
Swoim dzieciom król Rostewan.

Tarijel rzekł dnia pewnego
Do władyki Rostewana:
„Rad bym zostać aż do śmierci
Gościem w zamku twego ścianach.
Ale wieści otrzymałem,
Że wróg dawny właśnie teraz
Chce podstępem zdobyć Indie
I ogromne siły zbiera.

Więc odjechać muszę, panie,
By z wrogami się rozprawić.
Jeśli mnie nie stanie w boju,
Nikt ojczyzny mej nie zbawi!
A gdy mieczem mym rażony
Wróg we własnej krwi utonie,
Powróciwszy do stóp twoich,
W kornym schyłę się uklonie“.

„Któż by — odparł mu Rostewan —
Wstrzymać ciebie się ośmielił?
Niech Awtandił pójdzie z wojskiem
I pomocy ci udzieli“.
Tarijel wykrzyknął wtedy:
„Jakże możesz, dobry panie,
Z takim trudem połączoną
Parę skazać na rozstanie!“

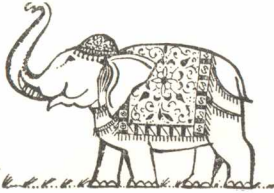
Na to rzekł Awtandił: „Bracie,
Przyjmij pomoc mą, zaklinam,
Prawdziwego wojownika
Żona w domu nie zatrzyma“.
Tarijel do brata podszedł
I pochwycił go w ramiona.
„Jeśli ty pojedziesz ze mną,
Żaden wróg nas nie pokona!“



Na rumaki siadło białe
W chorezmijskich zbrojach litych,
Osiemnaście setek śmiałych,
Wojowników znamienitych.
Dał Rostewan znak odjazdu.
Bracia żony pożegnali,
Na koń wsiedli i ruszyli,
I zniknęli w sonej dali.



ZAKOŃCZENIE



Zakończyła się wyprawa
Zwycięstwami uwieńczona.
Zasiadł w blasku król szczęśliwy
Na indyjskich siedmiu tronach.
Zahuczały bębny, kotły,
Tonął gród w radości głosach,
Nestan-Daredżan jaśniała
Niby słońce na niebiosach.

Całych Indii pan jedyny,
Władca skarbów nieprzebranych,
Tarijel na złotym tronie
Zdobyl miłość swych poddanych.
Żył szczęśliwie aż do śmierci
Pośród bogactw, w sławy blaskach,
A na siódmym tronie Indii
Królowała wierna Asmat.

Według prawa i zwyczajów
Sądził lud przed swoim tronem
I do śmierci żył w przyjaźni
Z Awtandilem i Fridonem.
Wróg jak ognia ich się lękał
I napadać się nie ważył,
Bo każdemu z nich bez zwłoki
Pomoc zawsze niósł towarzysząc.



Lud wzbogacił się, bo władca
Sypał hojnie góry srebra.
Wdowa łez nie wylewała
I sierota już nie żebrał.
Mieczem król surowo karał
Tych, co zesłi na manowce.
Panowało prawo. Pasterz
Pał wśród wilków swoje owce.

O tych wielkich wojownikach,
O tytanach chrobrych, sławnych,
Co trudzili się w pochodach
I zmaganiach starodawnych,
Co w nieszczęściu niosąc pomoc
Zdobywali wielką chwałę,
Ja, niejaki Rustaweli,
Tę opowieść napisałem.



SPIS TREŚCI

OPOWIEŚĆ PIERWSZA	
<i>O Rostewanie, królu arabskim</i>	5
OPOWIEŚĆ DRUGA	
<i>O tym, jak Rostewan ujrzał witezia w tygrysiej skórze</i>	13
OPOWIEŚĆ TRZECIA	
<i>O tym, jak Awtandil wyruszył na poszukiwanie witezia w tygrysiej skórze</i>	22
OPOWIEŚĆ CZWARTA	
<i>O tym, jak Awtandil spotkał się z Tarijelem</i>	28
OPOWIEŚĆ PIĄTA	
<i>O tym, jak Tarijel pokochał Nestan-Daredżan i został przez nią wysłany na poskromienie Chatawów</i>	36
OPOWIEŚĆ SZÓSTA	
<i>O tym, jak swatano Nestan-Daredżan</i>	44
OPOWIEŚĆ SIÓDMA	
<i>O tym, jak Tarijel zabił chorezmijskiego królewicza</i>	51
OPOWIEŚĆ ÓSMA	
<i>O tym, jak porwano Nestan-Daredżan</i>	55
OPOWIEŚĆ DZIEWIĄTA	
<i>O tym, jak Tarijel spotkał Nuradin-Fridona</i>	60
OPOWIEŚĆ DZIESIĄTA	
<i>O tym, jak Fridon pomagał Tarijelowi w poszukiwaniach</i>	65

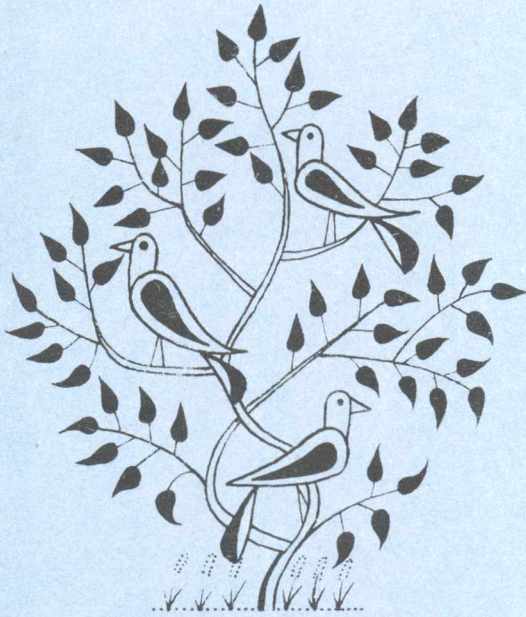


OPOWIEŚĆ JEDENASTA	
<i>O tym, jak Awtandił powrócił do Arabii</i>	74
OPOWIEŚĆ DWUNASTA	
<i>O tym, jak król rozgniewał się na swego ulubionego wezyra Sograta</i>	78
OPOWIEŚĆ TRZYNASTA	
<i>O drugim tajemnym wyjeździe Awtandiła</i>	83
OPOWIEŚĆ CZTERNASTA	
<i>O tym, jak Awtandił odnalazł witezia po raz drugi</i>	87
OPOWIEŚĆ PIĘTNASTA	
<i>O tym, jak Tarijel zabił lwa i tygrysa</i>	96
OPOWIEŚĆ SZESNASTA	
<i>Modlitwa Awtandiła do planet</i>	101
OPOWIEŚĆ SIEDEMNASTA	
<i>O tym, jak Awtandił przybył do Mułhazanzaru</i>	106
OPOWIEŚĆ OSIEMNASTA	
<i>O tym, jak Awtandił walczył z piratami</i>	111
OPOWIEŚĆ DZIEWIĘTNASTA	
<i>O tym, jak Awtandił przybył do Hułanszaro</i>	117
OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA	
<i>O tym, jak Fatma uwolniła Nestan-Daredżan od prześladowców</i>	120
OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA PIERWSZA	
<i>O tym, jak Fatma opowiedziała mężowi o pięknej brance . .</i>	126
OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA DRUGA	
<i>O tym, jak Nestan-Daredżan dostała się w ręce króla mórz .</i>	129

OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA TRZECIA	
<i>O tym, jak Nestan-Daredżan została uwięziona w twierdzy Kadżeti</i>	136
OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA CZWARTA	
<i>O tym, jak Nestan-Daredżan wysłała list do ukochanego . . .</i>	144
OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA PIĄTA	
<i>O tym, jak Awtandił wrócił do pieczary</i>	153
OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA SZÓSTA	
<i>O tym, jak witezie wyruszyli do Nuradin-Fridona</i>	160
OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA SIÓDMA	
<i>Zdobycie Kadżeti</i>	164
OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA ÓSMA	
<i>Wesele Tarijela z Nestan-Daredżan wyprawione przez króla Nuradin-Fridona</i>	171
OPOWIEŚĆ DWUDZIESTA DZIEWIĄTA	
<i>O tym, jak jadąc do Arabii Tarijel wstąpił po swoje skarby</i>	176
OPOWIEŚĆ TRZYDZIESTA	
<i>Wesele Awtandiła i Tinatiny wyprawione przez króla Arabii</i>	185
ZAKOŃCZENIE	
<i>.</i>	190

PRINTED IN POLAND

Institut Wydawniczy „Nasza Księgarnia“, Warszawa 1960 r. Wydanie I. Nakład 15 000 + 260 egz. Ark. wyd. 9,0; ark. druk. 12,25 + 8 wkładek. Papier druk. mat. kl. III, 90 g, 70 × 100/16 cm i papier kredowany 140 g. Oddano do składania 19 kwietnia 1960 r. Podpisano do druku 8 września 1960 r. Druk ukończono w październiku 1960 r.
Drukarnia Narodowa w Krakowie. Zam. nr 258/60. E-12



3-8 C.

n. 4 / 896



ՀԱՅԱՍՏԱՆԻ ՀԱՆՐԱՊԵՏՈՒԹՅԱՆ
ՆԱԽԱՐԱՐԱԿԱՆ ԳՐԱԴԱՐԱՆ



